



SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

ROK XXII
PARYŻ—LONDYN

Polska walcząca o wolność

Nr 46/1062 (794) CZWARTEK, 15 listopada 1962

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

KRYZYS KUBAŃSKI UTRWAŁA SIĘ — PRÓBY APPEASEMENT'U

W sytuacji światowej, rozwijającej się w związku z kryzysem kubańskim, mamy z jednej strony do czynienia z utrwalaniem się tego kryzysu i zaostrzeniem czujności rządów zachodnich w stosunku do agresywności Moskwy, a z drugiej — z zorganizowaną próbą appeasement'u czyli szukania kompromisu z Chruszczowem kosztem nowych ustępstw.

Prez. Kennedy nie uważa bynajmniej problemu sowieckiej bazy wojskowej na Kubie za zatłaczony, czego najwymowniejszym i realnym dowodem jest dalsze gromadzenie wojsk i uzbrojenia na południowej Florydzie oraz kontynuacja blokady Kuby. 12 listopada odbyła się w Białym Domu wspólna narada, wyłonionego specjalnie dla tej sprawy komitetu wykonawczego Narodowej Rady Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych oraz McCloy'a i Stevensona, jako delegatów Prezydenta do rokowań z Sowietami na temat Kuby. Na radzie tej nie tylko nie powzięto żadnych decyzji, świadczących o tym że niebezpieczeństwo zostało uznane za zażegnane, ale musiano stwierdzić, że Sowiety — wbrew obietnicom Chruszczowa — nie zabrały dotychczas z Kuby bombowców Il-28, które prez. Kennedy określił wyraźnie

jako broń ofensywną, których na wyspie tej nie będzie tolerował. Sprawa pocisków atomowych, których odwożenie z Kuby przez sowieckie statki aż nazbyt ogólnie było przez Amerykanów kontrolowane, nie jest również uważana za zupełnie wyjaśnioną. Amerykański podsekretarz stanu, Martin, zwrócił niedawno publicznie uwagę, że nie można być wcale pewnym, czy wszystkie pociski zostały zabrane przez Rosję z powrotem oraz, że na Kubie jest wiele obszernych grot, mogących stanowić doskonałe schronienie dla tych groźnych przedmiotów.

Zelżenia napięcia nie odczuwa się również w Europie. Gen. Norstad — którego odejście ze stanowiska naczelnego dowódcy wojsk Org. Traktatu Półn. Atlantyckiego — NATO zostało z powodu zaostrzenia się sytuacji odroczone — podkreślił ostatecznie na zebraniu Rady tej organizacji w Paryżu, że zachodzi konieczność wydatnego wzmocnienia jej zbrojnej gotowości i przedstawił m.in. plan ewent. użycia lotnictwa cywilnego do masowych transportów wojskowych na zagrożone odcinki, w szczególności z Ameryki do Europy.

Wreszcie decyzji rządu brytyjskiego, by dokonać próbnego wybuchu

atomowego pod ziemią w Newadzie na terenie Stanów Zj., nie można także uważać za dowód odprężenia międzynarodowe, które ze strony niektórych kół jest opinii zachodniej mawiane.

PRÓBY APPEASEMENT'U I ZNOWU DEZINFORMACJA

Jak zwykle wchodzą tu na arenę publicyści, którzy zawodowo niejako przedstawiają w każdym kryzysie Chruszczowa, jako skarbnicę do-

(Dokończenie na str. 8)

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI W LONDYNIE

Przy zapelnionej sali Westminster Cathedral Hall odbył się w niedzielę 11 bm. obchód Święta Niepodległości w 44-tą rocznicę jej odzyskania, zorganizowany jak corocznie przez Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii. Na udekorowaną narodowymi emblematami estradę wszedł poczet harcerek ze sztandarem, po czym imieniem organizatorów zagał akademie w zastępstwie chorego prezesa red. P. Hęciaka, któremu mównicę złożył życzenia rychłego powrotu do zdrowia, poparte serdecznymi oklaskami — wiceprezes Zjednoczenia mjr. pilot Z.W. Bienkowski.

Z kolei mównicę przywitał zebranych, gen. S. Kopańskiego — który reprezentował zarazem gen. W. Andersa, dalej

JANUSZ KOWALEWSKI

DYWERSJE WŚRÓD EMIGRACJI

„Zabiegi komunistów warszawskich stały się już dość natrętne i nácchalne... trzeba zwrócić na nie naszą uwagę i strzec się ich. Polonia Amerykańska jako całość nie da się wystannikom reżimowym zbalamucić. Nie oznacza to jednak że mamy te natrętne wtyczki tolerować, albo zbywać je milczeniem”. — Karol Rozmarek (przemówienie w Chicago).

Żeby wroga umiejętnie zwalczać, trzeba go przede wszystkim poznać. Komunizm wydał światu i nam walkę bezlitosną. My, w oparciu o naszą pewność ostatecznego zwycięstwa, musimy prowadzić ją równie bezlitośnie, świadomie i czujnie. Bez walki zwycięstwa nie osiągniemy, nie spadnie nam ono z nieba samo.

Zagadnienie reżimowej dywersji, infiltracji, pozyskiwania, kupowania co słabszych, roboty rozłamowej, pogłębiania warcholstwa — cały ten chaos, który reżim tworzy i pogłębia, w interesie utrwalenia swojej władzy — jest już problemem nagłym i wolejącym o przeciwdziałanie.

METODY

Przed „odwilżą” reżym działał wyłącznie po linii pozyskiwania pojedynczych jednostek. Stosowano bądź szantaż bądź przekupstwo. Rząd angielski w pewnym momencie rozprawił się z tą akcją, gdy zarządził deportację trzynastu szpiegów spośród emigracji polskiej w Anglii do Polski (w r. 1952). Emigrację jako całość reżim zwalczał wtedy w swej prasie wyzwiskami i oszczerstwami.

OKRES „PARTYZANTKI”

Zmieniło to się w okresie „odwilży” jeszcze przed październikiem, gdy reżim zaczął próbować pozyskiwać emigrację agitacją poprzez żelazną kurtynę: zorganizowano specjalne audycje radia reżimowego dla emigracji, biuletyny i pisma — jak „Biuletyn Informacyjny” (radiowy), „7 Dni”, „Polska Agencja Zachodnia” — i inne którymi obsyłano emigrację za pośrednictwem ambasady i wprost z Polski pocztą na prywatne adresy.

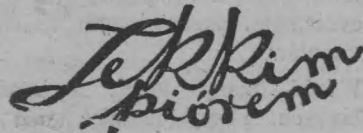
Dla działalności dywersyjnej, zorganizowanej, na szerszą skalę okazała się trafila w okresie, gdy zarządzał się podział emigracji na „Zamek” i Radę Trzech. Korzystając z jednej strony z atmosfery „odwilżowej”, jaka zaczęła się wytworzać na emigracji już od r. 1954, z drugiej z pewnego rozczarowania, wytworzonego skutkiem niepełnego przeprowadzenia akcji zjednoczeniowej, reżim przystąpił do działania, poprzez dawniej „zaplanowanych” i nowo zwerbowanych agentów.

Pierwsze uderzenie reżimu poszło na „Zamek”. Pierwszym sukcesem dywersji było zwerbowanie i wyjazd do Kraju „premiera Zamkowego”, Hugona Hankego w 1955. Na jego miejsce przyszedł Stanisław Mackiewicz.

Rola Mackiewicza przez długi czas polegała na judzeniu emigracji przeciw aliantom zachodnim, którzy „zdradzili nas w Jalcie”, na torpedowaniu wszelkich większych naszych akcji antyreżimowych i antykomunistycznych. M. in. występował przeciw planowanemu Kongresowi Kultury, który miał się odbyć w Paryżu jako demonstracja wolnej kultury polskiej przeciw „zniewolonemu umysłowi” w Kraju. Mackiewicz zwalczał też m.in. imprezę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, zbiorowe wystąpienie pisarzy w r. 1953 na temat „Dlaczego nie wracamy do Kraju”. Działalność w porozumieniu z Wańkiewiczem, który mieszkał wówczas w Ameryce (zwracalem się do obu — w imieniu Związku Pisarzy — o udział w tej imprezie i obaj mi w charakterystyczny i wykretny sposób odmówili — obaj wyjechali po tem do Kraju).

Jako „premier zamkowy” Mackiewicz jeszcze bardziej pokłócił „Zamek” z Radą Trzech; wicherzył i szumiał antyangielsko; przeprowadził „wybory” po linii dywersyjnej.

W TYM NUMERZE:



OBCHÓD 11 LISTOPADA W POLSKIM PARYŻU

Tak się złożyło, że już od wielu lat obchód Święta Niepodległości urządza w Paryżu przedstawicielstwo polityczne, a obchód Konstytucji 3 Maja — organizacje kombatanckie. W tym roku więc, zgodnie z wieloletnią tradycją, obchód rocznicy odzyskania przez naród polski niepodległości był dziełem Rady Wolnych Polaków we Francji.

Odbył się on w Domu Kombatanta w dniu 5 listopada. Dzień został dość źle wybrany — złożyły się na to różne okoliczności. Toteż można było się obawiać, że publiczność nie dopisze. Tymczasem sala biblioteczna Domu Kombatanta wypełniona została po brzegi. Świadczy to dobrze o poczuciu patriotycznego obowiązku polskiego społeczeństwa w Paryżu.

Akademie zagał i słowo wstępne wygłosił płk Józef Jaklicz, wiceprezes Rady Wolnych Polaków. Jest to mównicę z Bożej łaski, jego polszczyzna jest przepiękna, a dykcja — wspaniała. Nic więc dziwnego, że słucha się go zawsze z ogromną przyjemnością. Naszkicował on wyraźnie kontury obrazu walki o niepodległość kilku polskich pokoleń — od insurekcji Kościuszkowskiej do bitwy u bram Warszawy w sierpniu 1920 r. Jest to duży okres czasu. Może nawet za duży na jedno przemówienie, i może właśnie dlatego obraz dnia Święta Niepodległości i tego, który najbardziej się do niego przyczynił — został mocno przyćmiony i wypadł dość blade. Piękne dekoracje sali — chorągiew narodowa, kwiaty, wielki portret Józefa Piłsudskiego i rzucająca się w oczy data 11. XI. 1918. — ten obraz znakomicie ożywił.

Głównym mównicą na akademii był prezes Adam Ciołkosz. Mówił na temat obecnej sytuacji w Polsce — „sześć lat po październiku”. Referat Ciołkosza trwał godzinę i trzydzieści minut.

Ale jestem głęboko przekonany, że nikt nie uронil jednego słowa z tego, co on mówił. Na sali panowała niczym nie zamącona cisza, wszyscy słuchali z natężoną uwagą. Bo przecież sprawy krajowe interesują na emigracji wszystkich, a Ciołkosz jest tych spraw doskonałym znawcą. Przypomniał on ten okres rewolucyjny w Polsce, jaki się rozpoczął wystąpieniem robotników w Poznaniu; przypomniał ten zryw poetów, dziennikarzy, młodzieży akademickiej

Przypomniał także obietnice dane przez Gomułkę robotnikom i chłopom, inteligencji i Kościołowi. I cóż z tych obietnic pozostało dzisiaj? Polska przed „październikiem” i Polska po „październiku” — jest to ta sama Polska. Rządzi w niej nie naród polski, lecz Moskwa. I stąd właśnie wypływają obowiązki emigracji.

Na zakończenie mistrz Zygmunt Dygat wykonał kilka utworów Chopina.

J. R.

fraszki

PRAWO NATURY

*Osty jadają bujne osty,
Resztkami żywią się zaś świnię,
Chruszczow trawi Gomułki, Kadary, Ulbrichty;
Jak to nic w przyrodzie nie ginie!*

POGLĄDY POLITYCZNE LORDA RUSSELLA

I.

*Filozof także jest człowiekiem
(A człowiek dziecinieje z wiekiem).*

II.

*Dla sivej głowy szacunek — rzecz święta,
Ale bądźmy ściśli:
Szacunek wcale nie dotyczy tego,
Co głowa wymyśli.*

Rawicz

FP 2156

Dywersje wśród emigracji

(Dokończenie na str. 8)

W tym samym czasie działała również dywersyjna grupa Jana Matlachowskiego i Zygmunta Kotowicza, którzy zdolali wśliznąć się na stanowiska redaktorów pism „zamkowych” aż do odwołania ich do Kraju.

Wszystko to co było przed Październikiem, nosi cechy „pionierskiej” roboty dywersyjnej.

ROBOTA MASOWA

Po październiku nastawiono się na masową dywersję. Zmienił się ton reżimowych apelów pod adresem emigracji. Zaczęto ją pozyskiwać, zmiekczać złudzeniami Października, „polskiej drogi do socjalizmu”. Ale przede wszystkim zaczęto proces przekształcania emigracji w „Polonię”, wmawiano, że emigracja w masie swojej stała się zarobkową „Polonią”, a tylko „najbardziej reakcyjna” część „góry” tkwi, jeszcze w upartej walce z Polską „ludową” wbrew jakoby interesom i woli większości.

Zorganizowano na szerszą skalę wyjazdy dzieci do Kraju, bez trudu udzielano wiz „szarym” emigrantom na wizyty do Kraju. Akcja i reżim i jego agentów na emigracji idzie po linię wytworzenia wrażenia, że wszystko jest normalnie, jak było w okresie dwudziestolecia, gdy „Polonia” światowa współpracowała z rządem polskim.

W Warszawie powstaje centrala do prowadzenia akcji po tej linii: „Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną”. Dla podkreślenia wagi, jaką reżim przywiązuje do pozyskania Polaków za granicami Polski, prezesem tej dywersyjnej organizacji, faktycznie kierowanej przez Sekretariat Partii, mianowano prof. Kulczyńskiego, który pełni poza tym rodzaj funkcji „wiceprezydenta” Polski „ludowej”, jako zastępca przewodniczącego Rady Państwa, Zasadniczego, Towarzystwo wydaje biuletyn dla emigracji p.n. „Krajowa Agencja Informacyjna”, którego redaktorem jest Klaudiusz Hrabek, zwerbowany przez reżim w Ameryce po Październiku, gdzie przez pewien czas prowadził akcję dywersyjną wśród Polonii, organizując publiczne zebrania w duchu proreżimowym, „pozytywistycznym” — ugodowym wobec Rosji i reżimu.

W tym też duchu redagowana jest „Krajowa Agencja”, która nadaje ton proreżimowym pismom na emigracji, z tym jednakże że „Agencja” kładzie większy nacisk na „rozbudowę Kraju”, a gadzinówki reżimowe na rozróbki personalne na emigracji i na judzenie „dołów” przeciw „górze”, co jest typowym komunistycznym chwytem propagandowym. Agenci zwalczają wszelkie centralne instytucje i organizacje emigracji, jak Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, „Zjednoczenie”, Tymczasową Radę Jedności Narodowej, zwalczali akcją wyborczą, Skarb Narodowy, zniechęcając do płacenia składek i do udziału w tych organizacjach, zniechęcając w ogóle do wszelkiej działalności i życia politycznego, ośmieszając je i prowadząc kampanię przeciw poszczególnym działaczom, węsząc wszędzie „agentów niemieckich” i rzucając to najobrzydliwsze ze wszystkich oszczerstw bez wyboru i bez uzasadnienia.

Dużą pomocą w organizacji wszelkiej dywersji jest względnie szerokie otwarcie granicy, to znaczy uniesienie żelaznej kurtyny. Wyjazdy stąd do Kraju i przyjazdy krewnych, przyjaciół i mniej albo więcej zamaskowanych agentów do nas, sprzyjają po pierwsze sianiu złu-

żeń o „wolności” w Polsce „ludowej”, po drugie dają reżimowi możliwość wszelakiego szantażu paszportowego i wpływania na co słabsze politycznie umysły frazesami o rzekomo pokojowej i rzekomo demokratycznej i postępowej ideologii komunizmu.

Nie są też ani wyłączone ani rzadkie wypadki mniej albo więcej świadomego szpiegostwa, które wizytujący — niekiedy nie zdając sobie z tego sprawy — uprawiają: gdy mianowicie wezwani do władz bezpieczeństwa i wciągani w rozmowę udzielają wszelkiego rodzaju informacji. A jest prawie regułą, że Bezpieczeństwo rozmawia — niekiedy każe składać raporty na piśmie — z emigrantami odwiedzającymi Kraj.

TERROR WIZOWY

Sprawa wyjazdów do Kraju emigracji jest o tyle trudna, że siłą napędową tego ruchu migracyjnego jest nostalgia, na której władze reżimowe grają z równym sprytem jak i cynizmem, pozbawionym wszelkich skrupułów.

Wśród masy ludzi, najczęściej krewnych, przyjeżdżających do nas z Kraju, jak najbardziej prywatnie i w celach uczciwych, reżim przemyci też coraz więcej swoich agentów, mniej albo więcej świadomych swej roli. Ich postępowanie tutaj ma na celu „zmiekczenie”, jeśli nie rozkład, emigracji, stopniowe ostrza naszej walki. Typowe pod tym względem były wystąpienia Jerzego Zawieyskiego, dobrze zakamuflowanego rangą pisarza katolickiego i Józefa Kisielewskiego, publicysty „katolickiego”, felietonisty „Tygodnika Powszechnego”, a zwolennika ugody z Rosją pod pretekstem „musu geograficznego”.

Ostatnio lażyli po Londynie całe tabuny reżimowych dziennikarzy, jak np. Sarr, redaktor „Zielonego Sztandaru”, wychwalający otwarcie reżim i bezczelnie „piętnujący” emigrację za „współpracę z imperializmem amerykańskim”, albo — łagodniejszy — redaktor wydawnictwa „Polonii”, „7 Dni” Wacław Wagner, usiłujący robić zgodę emigracji z reżimem na podstawie tego, co „nas wszystkich przecież łączy — obrony granicy na Odrze i Nysie i walki z rewizjonizmem niemieckim”.

Agentom reżimu musimy odpowiadać — jeśli już zdecydujemy się z nimi mówić — że z reżimem i z jego emisariuszami nie, nawet to nas nie łączy, bo my jednocześnie z Odrą i Nysą myślimy o innych granicach; ciesząc się z Wrocławia, walczymy będziemy o Lwów i Wilno...

Coraz częściej i brutalniej obecnie uprawianą metodą „zmiekczenia” emigracji jest terror wizowy, stosowany przez reżim wobec emigrantów, pragnących wyjechać do swych bliskich w Kraju z wizytą. Zająłem się niedawno — fragmentarycznie — tą sprawą na łamach „Dziennika”, przytaczając wypadek jaki miał miejsce w Dundee: jednemu z tamtejszych działaczy cofnięto przyznaną już wizę wjazdową do Polski — „za karę”, bo kandydował w wyborach delegatów na Zjazd Polaków w Brytanii; po czym dano do zrozumienia że wiza może być z powrotem przyznana, jeśli...

Bardziej drastyczny przykład. Pewien kupiec, Polak, mieszkający stale we Francji, pojechał — po raz trzeci — do Kraju do rodziny. Wezwano go do Warszawy, gdzie urzędnik Bezpieki do spraw kontaktów z emigracją, niejaki Henryk Dzendel, nakłaniał go do podjęcie działalności rozbijackiej w jednym z

stronnictw politycznych na emigracji. Kupiec nie zgodził się i dał szorstką odpowiedź. Po powrocie z Warszawy do swego miasta rodzinnego, otrzymał nakaz z Milicji wyjazdu z Polski w ciągu 24 godzin.

Inżynier, Polak, pracujący w Szwajcarii w wielkich zakładach przemysłowych chciał sprowadzić brata z Polski. Bratu powiedziano w Polsce, że dostanie paszport, pod warunkiem, że skłoni swego brata w Szwajcarii do rozmów z przedstawicielem Polski ludowej w Szwajcarii. Obaj bracia wyrazili zgodę na ten warunek. Do inżyniera w Szwajcarię zgłosił się potem ktoś i po dłuższej rozmowie zaproponował mu... przekazywanie tajemnic produkcji firmy, w której pracuje, Polsce „ludowej”... Inżynier propozycję odrzucił. Ale ilu może być takich, którzy tego nie zrobią i uwikłają się w sprawy, mogące skończyć się tragicznie... (Nazwiska i adresy na żądanie władz, uprawnionych do takiego żądania, mogą każdej chwili przedstawić J.K.).

„DZIEL I PANUJ”

Reżim również stosuje starożytną zasadę „dziel i panuj”. Jego agenci dostają polecenie przeprowadzenia, gdzie się tylko da, rozłamu w organizacjach niepodległościowych na emigracji. Nie twierdzą, że wszystkie rozłamy są dziełem agentów reżimu, ale z całą pewnością reżim wszystkie je próbuje wykorzystać.

Od dłuższego już czasu reżim zakłada swoje własne organizacje, które można by podzielić na trzy grupy: kulturalne, operujące frazesem dbałości o polskość emigracji w ogóle, szczególnie dzieci i młodzieży (tu trzeba dodać, że reżimowa „Polonia” w Warszawie wydaje pismo dla dzieci emigracyjnych — *po angielsku* p.t.: „Polish News and Views” — w trosce o ich polskość...); druga grupa — to organizacje pod hasłem „pomoc krajowi”; trzecia — pod hasłem walki z „rewizjonizmem niemieckim” — ale tylko w Zachodnich Niemczech, gdy jak wiadomo czerwone krzyżactwo w Niemczech sowieckich podnosi lew zuchwale antypolsko i rewizjonistycznie.

Oprócz tych trzech typów organizacji „kulturalno-społecznych” zwolennicy reżimu ostatnio przystąpili do montowania własnych stronnictw politycznych, które zamierzają połączyć w jakiś nowy „front demokratyczny”...

Ale kto u nas o tym wie? Kto o tym pisał? Ta pieczęć milczenia sprawa, że wiele ludzi najuczciwszych, po prostu z nieświadomości, idzie w sieci reżimowych agentów. A w sieci łatwo się wplątać, ale niekiedy b. trudno wyplątać. Pamiętać trzeba, że agenci reżimowi, montując swe organizacje i werbując do nich, nigdy nie mówią że są one reżimowe. Przeciwnie — są zawsze „Niezależne”, „Apolityczne”, „bezpартyjne” — po prostu: „patriotyczne” — tak właśnie jak osławiony Związek Patriotów Polskich Wandy Wasilewskiej.

Janusz Kowalewski

(Dok. nastąpi.)

NA OKOŁO ŚWIATA

„Dobrzy Niemcy” — Parki narodowe w Afryce — Porto Rico

„Legenda o dobrych Niemcach” na ukochanej Białorusi p. M.K. Pawlikowskiego w „Wiadomościach” odbiła się i we mnie natychmiastowym echem. I ja „gdzie ludzie konia kują tam i żaba... itd.) jako kilkuletni chłopak pamiętam „Dobrych Niemców” w sztywnych czapkach z dwoma bączkami i uroczystych Oberleutenantów z głębokiej rezerwy grywających na skrzypcach w salonie na Małej Sadowej, gdzie był dom „miejski” rodziców i tak nie dawno przed tym mieszkał Wielki Książę Sergiusz Michajłowicz, ten od artylerii i jego przyboczny lekarz dr Maack i jego córka Nina, o rok starsza ode mnie... Ale to są wspomnienia ściśle osobiste, jak się rzekło, chodzi mi o „echo” w tym wypadku, a nie o Mohylów, podówczas siedzibę „Stawki” czyli Sztabu Naczelnego Wodza Armii Rosyjskich którym, jak wiadomo, był pod koniec i wojny i swojego panowania Cezar Mikołaj II. Wracając do „Dobrych Niemców” muszę powiedzieć iż, oczywiście, o ile pamiętam, witano ich z ulgą i odnoszono się do „Landsturmu” życzliwie ale, na ogół, raczej podśmiewano się: a to że konfitury jedzą z nabożeństwem małą łyżeczką, a to że „kwaśno” pachną, a to że niczego nie rozumieją i w ogóle są „kałbaśniki”. Poważniejszym zarzutem był sposób prowizorycznego budowania dróg. Bodaj że stryj Żenio okropnie oburzał się że to niby taka kultura i Bóg wie co a oni po prostu wycinają lasy i pnie układają na błoście. No, i są bardzo dumni z tego powodu i wydziewają chłopom od „Untermenschów”.

Tu następuje przerzut. Ileż to nasłuchałem się w wiele lat po tym że Kanał Suezki jest tak skomplikowaną maszyną, że co najmniej 10 lat potrzeba na wyszkolenie pilota. I do tego trzeba mu płacić stawki astronomiczne nawet jak na bezczelnie wysokie uposażenia Towarzystwa Międzynarodowego Kanału Suezkiego. Po r. 1956 okazało się, iż wszystko jest bzdurą. Administracja prez. Nassera wyszkoliła pilotów w sześć miesięcy a obroty Kanału wielokrotnie się od czasu przejścia go przez rząd egipski. A teraz, z prawdziwą radością dowiaduję się iż jeszcze jedna „kolonialna” legenda okazała się po prostu głupstwem. System kolonialny był oparty na nonsense, iż pewne rasy są z natury niższe od innych. Jednym z pomniejszych argumentów dla udowodnienia tego było głębokie przekonanie, iż z chwilą uzyskania niepodległości Murzyni wyniszcza zwierzęta. Była w tym perfidia, bo aż do pojawienia się Arabów i Europejczyków społeczeństwa ludzkie i zwierzęta w Afryce „koegzystowały” na ogół harmonijnie. Murzyni zabijali wyłącznie tyle ile mogli zjeść. Pojęcie „sportu myśliwskiego” było im nieznanne. A teraz okazuje się, iż są nie gorszymi stróżami Parków Narodowych niż Europejska Administracja kolonialna. Pisał o tym niedawno w „The Daily Telegraph” John Owen, dyrektor Parków Narodowych Tanganiki. Trzy nowe parki zostały utworzone w tym kraju i obecnie rząd Tanganiki poszukuje dosłownie groszowych kredytów, około 300 tysięcy funtów na okres najbliższych 5 lat na „rozkręcenie” przedsięwzięcia. Potem parki staną się samowystarczalne gospodarczo. Podobnie w Republice Kongolijskiej parki narodowe a zwłaszcza Park Narodowy Alberta utrzymywane są bodaj że lepiej aniżeli za belgijskich czasów. A przecież Belgowie, i słusznie, uważali iż mogą być dumni ze swoich osiągnięć.

Po awanturze kubańskiej — zresztą nie zakończonej jeszcze — przyjdzie nieuchronnie kolej na Porto Rico. Oczywiście bez pocisków międzykontynentalnych i chamskich mord sowieckich „mężów stanu” czule uśmiechających się do obiektywów z chwilą kiedy ktoś zagroził, na serio, iż te właśnie mordy im nabije. Podobnie jak Kuba, Porto Rico jest dawną kolonią hiszpańską. Pod administrację Waszyngtonu dostało się w końcu ubiegłego stulecia. Jest to wyspa o długości 170 kilometrów i szerokości około 60. Leży na Morzu Karaibskim o 1700 km od Miami i zaledwie o 850 km od Kuby. Od wylotu Kanału Panamskiego oddziela Porto Rico 2 tysiące kilometrów otwartego oceanu. Ludność jest zbyt wiele — przeszło 700 osób na milę kwadratową — uprzemysłowienie dopiero zaczyna się. Przed 30 laty wyrabiano tam tylko rum. Pomiędzy r. 1941 a 1961 dochód narodowy wzrósł z 269 dolarów rocznie do 673 dolarów rocznie. Poza tym 600 tysięcy Portorikańczyków pracujących w Stanach przysyła swoim rodzinom przeszło 60 milionów dolarów rocznie.

Mimo to na wyspie wesoło nie jest. Ani Portorikańczykom na „Łądzie Stałym”, czyli w Stanach. Są oni narodem „hiszpańskim” z silną przymieszką murzyńską i indiańską. Tak jak w Teksasie i wzdłuż granicy na Rio Grande Amerykanie, czyli „gringos”, i Amero-Hispanie, czyli „wetbacks”, po prostu działają sobie na nerwy od czasów niepamiętnych. Chamskie poczynania Moskale na Kubie mogą, w dalszej perspektywie, stać się przełęczą porozumienia pomiędzy dwoma blokami narodowymi obu Ameryk. Od r. 1952 Porto Rico jest t.zw. Wolnym Państwem Stowarzyszonym Stanów Zjednoczonych — Free Associated State — Związek ten też Rzeczpospolita czyli Commonwealth. Nie bardzo wiadomo co to znaczy w terminologii prawa konstytucyjnego. W praktyce istnieje miejscowy parlament i obieralny gubernator, a Stany Zjednoczone zapewniają obronę i załatwiają sprawy zagraniczne wyspy. Nie bardzo podobają się do wszystkich Portorikańczykom. Istnieje partia skrajnie niepodległościowa, która przed paru laty dokonała zamachu stanu na prezydenta Trumana i urządziła strzelaninę na Kapitolu w Waszyngtonie. W chwili obecnej czołowym niepodległościowcem jest Miguel Angel Garcia Mendez, przewodniczący partii Republikańsko-Niepodległościowej. — El Partido Republicano de Independencia. Zamachów nie popiera ale domaga się niepodległości. A dlaczego? łatwo można sobie wydedukować obejrawszy film „The West Side Story...”

Czesław Jeśman

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU
JU IUSZ SAKOWSKI
ASY I DAMY

Świetność stylu, bogactwo tematyki, błyskotliwość spostrzeżeń czynią z tej książki prawdziwą niespodziankę literacką

Cena 36s. — NF 26 — \$ 5

Zamówienia przyjmują:

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU — 123, Bld. St. Germain, PARIS, VIe,
 administracja „WIADOMOŚCI” oraz wszystkie księgarnie polskie

DARY GWIAZDKOWE DLA CHORYCH

Komisja Koordynacji Opieki Społecznej organizuje dorocznym zwyczajem akcję paczek gwiazdkowych dla chorych Polaków, przebywających w czasie Bożego Narodzenia 1962 w szpitalach w W. Brytanii oraz osób w podeszłym wieku, żyjących na obczyźnie w samotności.

Fundusze na zrealizowanie akcji gwiazdkowej pochodzą częściowo od organizacji społecznych, a częściowo z ofiarności publicznej. W związku z tym Komisja w czasie od 15 listopada do 15 grudnia 1962 r. przeprowadza zbiórki, apelując o składanie ofiar bezpośrednio do Komisji bądź na listy, które rozsyłamy zarówno do organizacji i instytucji jak i poszczególnych osób z uprzejmą prośbą o poparcie akcji przez przeprowadzenie tej zbiórki. Zbiórka i jej termin są uzgodnione z władzami duchownymi i organizacjami społecznymi.

Ofiary przekazywać można czekiem przekreślonym wystawionym na: WELFARE COORDINATION COMMITTEE lub P.O. wystawionym w ten sposób, bądź gotówką (w liście poleconym) na adres: WELFARE COORDINATION COMMITTEE, 55, Princes Gate, London S.W.7.

Ks. Kan. N. Turulski
wiceprzewodniczący

Anna Januszajtis
sekretarz

Paweł Hęciak
prezes
Zjednoczenia Polskiego

Szwajcarski ubiór bojowy

Dywidżoner armii szwajcarskiej Max Waibel, szef uzbrojenia piechoty podał do wiadomości publicznej zasady, którymi się kierowano przy ustalaniu typu i kroju szwajcarskiego ubioru bojowego. Przeznaczony on jest dla piechoty, oddziałów lekich (kawaleria, kolarze i motocykliści), oraz zmechanizowanych (zmot. pancerni, czołgi i oddziały obrony ppanc.) i wprowadzany w użycie w miarę postępu produkcji i realizowania znacznego, bo 60-milionowego kredytu (£ 5.000.000).

Prace wstępne rozpoczęte jeszcze w r. 1955 szły w parze z konstrukcją karabinu szturmowego, którego armia szwajcarska do tej pory w ogóle nie posiadała.

Przy ustalaniu typu ubioru i jego kroju kierowano się następującymi podstawowymi wymogami:

Wygodne noszenie i szybkie użycie osobistego wyposażenia bojowego, dobre maskowanie, ochrona przed wpływami atmosferycznymi.

Myślą przewodnią było takie rozmieszczenie amunicji do karabina szturmowego łopatką polowej, maski gpag, ochrony przeciwatomowej, opatrunku osobistego, przyborów do czyszczenia broni, porcji rezerwowej i innych przedmiotów wyposażenia osobistego, by ich natychmiastowe użycie w boju nie przedstawiało trudności. Z tego względu odpasła musiał tradycyjny cielecy tornister, czy turystyczny plecak i trzeba się było uciec do zaopatrzenia kompletu bojowego, a więc kurtki i spodni, w sporą ilość kieszeni rozmaitych rozmiarów, przystosowanych przede wszystkim do formatu magazynków amunicyjnych i kształtu granatów karabinowych. W ten sposób zbędne też się stały nieśmiertelne ładownice, które prawie we wszystkich armiach świata przez paręset lat przetrwały reformy umundurowania. Przewidziano też dodatkową kieszeń przypinaną do pleców kurtki z przeznaczeniem na mniej ważne przedmioty wyposażenia osobistego, wzgl. na dodatkowe granaty karabinowe.

Po wielu długich i starannych próbach ustalono pstry, najbardziej odpowiedni w szwajcarskich warunkach terenowych i klimatycznych druk materiału na ubiór. Kurtka zaopatrzona jest w odpowiednich rozmiarów kapiszon, który naciąga się

Poezja jest tym skrótem, który jakkolwiek nie był by wyrażony, zawsze podaje zasadniczy ton na jakim budwana jest symfonia życia. Będąc tym skrótem (nawet w najtrudniejszej do odcyfrowania poezji abstrakcyjnej) jest symbolem najbliższym symbolowi matematycznemu, i jak on sięga w nieskończoność. Krytyk francuski Roger Mauge mówił o prof. J. F. Denisse, matematyku i astronomie który buduje największy w świecie radioteleskop we Francji, powiada: „Poezja jest najwyższą formą fizyki, która sięga w prawdziwą nieskończoność, nawet dla tego, kto jej nie szuka”.

Jeżeli przyjąć to twierdzenie, że gdzieś na granicy nieskończoności spotyka się poezja z matematyką, trzeba przyjąć, że łączą się tam również ze sobą w harmonii wszelkie rodzaje sztuki.

W dobrym zrozumieniu tych praw powstała, a nawet kwitnie wbrew niesprzyjającemu klimatowi, „Oficyna Poetów i Malarzy”. Działalnością swą objęła nie tylko artystycznie i pomysłowo wykonane wydawnictwa, ale i sięgnęła ostatnio po mecenat poetycki i korzystając z okazji wydania przez siebie dwóch tomów poezji niedawno zmarłego poety Tadeusza Sułkowskiego („Tarcza” i „Dom Złoty”) ustanowiła na-

HELENA ZURKOWSKA

Plon „Oficyny” — Sułkowski i Bednarczyk

grode jego imienia dla poety piszącego na emigracji.

Otrzymał ją dn. 15.9.1962 Marian Czuchnowski. Jeden z ostatnich jego poematów „Na wsi” został również wydany w 1959 przez Oficynę.

Opracowaniu wydawnictw Oficyny należałoby się bardziej szczegółowa monografia. Nie można jednak pominąć okazji, aby nie wspomnieć o wielkim wysiłku twórczym i ogromnej pracy fizycznej jakiej wymaga prowadzenie tego rodzaju wydawnictwa, dokonywanym przez dwoje pracowitych szaleńców: poetę i malarzę, którym poezja położyła blade palce na twarze i przesłoniła wszelkie uczucie wyrachowania i kupieckiej kalkulacji. Wszystkiemu wbrew, Oficyna utrzymuje wysoko swój artystyczny poziom. Wydała dotychczas zbiórki najcenniejszych utworów poetyckich, które bez jej współudziału, zapewne, nigdy nie ujrzałyby światła dziennego. Poza wymienionymi już wyżej dwoma toмами wierszy Sułkowskiego, oraz poematem „Na wsi” M. Czuchnowskiego ukazały się: Józefa Łobodzkiego „Kasydy i Gazele”, Juan Ramon Jimineza „Srebroń i ja” (przekład Śmieji z hiszpański.), W. Iwanuika „Pieśń nad Pieśniami”, W. Czereśniowskiego „Motywy Greckie”, A. Czerniawskiego „Polowanie na Jednorożce”, Sonety Shakespeare’a w tłumaczeniu W. Strzałkowskiego, 3 własne zbiórki poetyckie Cz. Bednarczyka: „Ziemia Trudna”, „Obręcze” i „Rdza”, oraz wiele inn.

Artystyczne winiety lub rysunki w tekście, które zdobią niektóre ze zbiorów, podnoszą niesłychanie wartość całości — zwłaszcza przy starannym doborze czcionek i papieru oraz ozdobnym układzie graficznym. Nie trzeba dodawać, że rysunki te uświetnione są nazwiskami F. Topolskiego, Z. Turkiewicz, Józefa Czapskiego, Tadeusza Piotrowskiego, Krystyny Sadowskiej-Bednarczykowej, Jana Pieńkowskiego i inn.

Niektóre zbiórki nie posiadają ozdób rysunkowych. Nie ma ich — niestety — u W. Czereśniowskiego, gdzie motywy greckie spływają polską Wisłą, ani — na szczęście — w noweli Mariana Pankowskiego „Bukencocie”, gdzie mogłyby się pokusić o wyższy stopień sprostności niż malowidła pompejańskie.

Szczycąc się przyjemnością trzymania w ręku ładnie wydanych i ozdobionych rysunkami F. Topolskiego zbiorów, zajrzyjmy do treści „Tarczy” i „Domu Złotego” T. Sułkowskiego. Pierwszy z nich jest znany wielu miłośnikom poezji z wieczoru literackiego T. Sułkowskiego, urządnego dla poety przez Stow. Pisarzy Polskich z racji 25-lecia jego twórczości, na którym sam poeta odczytał go słuchaczom.

Jest to poemat epicki będący jakby odczytaniem rzeźby na starej tarczy greckiej z tym zastrzeżeniem, że zawierałaby ona sceny z życia polskiego, Plaskorzeźba obrazu, rytm wiersza, drobiazgowy opis scen ma w sobie posmak homerowski, a czasem ton opisu serwisu z „Pana Tadeusza”. Scena wesela oraz koncert weselnego znowuż budzi asocjacje mickiewiczowskie (gra na rogu) i rozbudza bogatą skalę porównawczą. Chociażby z wydanym również przez Oficynę poematem „Na wsi” M. Czuchnowskiego. Zwłaszcza w scenach koncertowych. Swoisty talent Sułkowskiego, stateczny, o opisowym charakterze stoi, jak kapelmistrz nad grajkami i rozdziela role i nuty, łącząc całość w harmonię.

„Teraz flet pieśń połamał, dzieli ją na frazy
I rozda je pragnącym. Niechaj pije każdy,
Kto w upale tej ziemi, co wielka i trudna
Łaknie żywej krynicy, bo chce pić u źródła”.

Czuchnowski, wsparty o dysonans, nie pisze o muzyce, on podaje jej wcielenie bite wściekłym rymem o choty tanecznej z rozchybotanym taktem wnętrza każdego z wykonawców:

„Rany! Ile radości
Gorąca i weselości.
Takt do taktu ulata
Jak te pióra z przetaka”.

„Podskakuje na strunach
Cienki włosienny smyczek
Tu się pannie tasiemka,
Tam się rozpiął trzewiczek”.

„Tadi radi. Tadi rad!
Leci z fletu srebrny grad
Srebrny grad i biała kasza
Wszystkich do izby zaprasza”.

Piękne wielobarwne rysunki Topolskiego zostały wykonane pod urokiem poematu Sułkowskiego i doskonale uplastyczniają jego treść.

Zbiór p.t. „Dom Złoty” został ułożony przez przyjaciół zmarłego poety już po jego śmierci (choć opracowywał go sam do druku od dawna) i wydany jednocześnie z opracowanym przez niego osobiście tomem „Tarcza”, którego ukazania się nie doczekał za życia

Przyjaciele Sułkowskiego: poeta Kazimierz Sowiński opatruje tom krótkim wstępem, a poeta Czesław Bednarczyk opracowuje go graficznie i wydaje. Zbiór ozdobił nadto portretem zmarłego poety przez Topolskiego. Zawiera on 17 wierszy. Z nich jeden dał tytuł zbiorowi. Powtarza się tutaj cyzelowany rytmem wiersz rymowany z „Tarczy”, ale zdarza się też i wiersz nierymowany, „biały”. Jednak archaizowana, dostojna forma rytmiczna wzorowana jak gdyby na 16-wiecznej poezji polskiej najbardziej odpowiada talentowi poety. I to nie tylko forma, ale i sposób obrazowania, które jakby wyszły z pod flamandzkiego pędzla:

„Tak pracowitych żeńców ufce
wokoło
Choć to w gorący skwar, otarłszy
czoło
Z pokrzykiem jedni mięzsze
kładą grzywy
Które od ręki uprzęta sierp
krzywy.
Drudzy, gdzie promień dogrzeł w
snoch zbożu
Noszą a prędko do drabnego
wozu...”

(Anonim z XVI w.)

a Sułkowski:

„Matka z obwisłą pierścią i
nabrzmiałą,
Już nie jak miłośnica, ale k:bieta
dobra
Piersz palcami naciska, by lepij
szedł pokarm.
Włosy plecione w warkocz, a
warkocz opada
Na koszulę, całą od kłeczenia w
fałdach”.

Głębia przemyślenia problemów życia, patronowanie jego normalnemu, niejako przyrodniczemu rytnowi, pogodzenie się ze zjawiskami za-

chodzącymi w bytowaniu człowieka nadaje poezji Sułkowskiego dostojność i wyraża ludzką prawdę, daleko odbiegającą od nerwowego poszarpania i rozdarcia poezji, reprezentowanej na swych szczytach przez T. S. Eliota i jego szkołę. Nie tylko nie posiada jej ciężkiego osadu beznadziei, ale i unika jej urywanego, zadyszanego rytmu. Jej międzypodrodowej neurastenii przeciwstawia ufną, spokojną rezygnację chłopa polskiego, który przyjmuje i narodził się i śmierć równie spokojnie.

Wrażliwość poetycka Czesława Bednarczyka nie potrzebuje wyszukanej scenarii aby wywołać prawdziwe blaski szczerego złota. Przedmiejska dzielnica, fotel na którym „siedzę... ciężarem pięciu dni pracy”, igła błyskająca w ręku żony, budka z „Fish and Chips” przed domem, całe zwyczajne życie płynące dookoła prześwieśla promień który wysnuwa się z wnętrza. Promienistość jest cechą poezji. Nie zabije jej trud codzienny, nie zasnuje smutek obowiązków służących innym celom. Jej złościść przebija nawet zgrzebna szata codziennych trywialności. Poeta-drukarz pozwala sobie na nagłe zamyślenia, na prześwieślenie otaczającej go rzeczywistości swym poetyckim spojrzeniem. Czyni to nie często — 1954 — 1956 — 1962. Są to daty ukazania się jego zbiorów, ale to, co daje czytelnikom zostaje w pamięci. Jest tam epopea wysiłku twórczego, walka z obojętnością społeczeństwa, refleksje i obrazy: z życia chwytanego na gorąco, wieczyste piękno przyrody — odwieczne tematy poetyckie.

„Książki nasze — to strofy
I czasem poemat dłuższy,
lecz, cóż, żono moja,
wciąż pracujemy w puszczy”.

Jak w dawniej wydanych, tak i w ostatnim swym zbiorze życzliwie nastroja do poety jego twórcza szczerść. Nie sili się na abstrakcyjne wygibasy, na nic nie mówiące metafory, na wykoszlawioną, ekscentryczną formę — mówi o rzeczach widzianych i odczuty z prawdomównością przeżycia poetyckiego, który nie uczyni ukłonów modzie, jakaby ona nie była. „Rymy od wróbi, od wiatru rytm biorę, mieszam je z mową codzienną i zawijam w brzoszową korę”. Poemat o tematyce wojennej, który dał tytuł zbiorowi „Rdza” ma niewygasałą świeżość przeżycia i poetycką czystość wizerunku. Wygasła już zajadłość i gniew, pozostała skryształizowana refleksja.

... Okres życia zachodził.
W myślach, w bibliotece złożony,
Aż wzięty z półki pamięcią
I odczytany zadumą
Lżą oko przestoni
I wyprowadzi oddech cięższy”.

Lwów — 1782 — Wiedeń

J. A. BACZEWSKI

Najwyższej jakości
Gatunkowe

Wódki i Likiery

Przedstawiciel:

J. A. Bruce & Co.

9, Lenthall Place,

(koło stacji Gloucester Rd.)
London, S.W.7. Tel.: FRE 5508

PRZEKAZY PIENIĘŻNE
DO POLSKI

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU TRANSFEROWEGO

HASKOBA LTD

121, EARLS COURT ROAD,
LONDON, S.W.5. FRE 7888.

PACZKI WOLNE OD CŁA

Stanisław J. Karolus

SOVIETICA

MOSKWA DALEJ
W AGRESYWNYM NASTROJU

Mimo porażki kubańskiej, a ponieważ właśnie z jej powodu Moskwa — według informacji z poza żelaznej kurtyny — trwa dalej w agresywnym nastroju i na Kremlu knuć się mają jakieś nowe plany. Uzasadnieniem takiego nastawienia są argumenty z dziedziny wojskowej i wewnętrzno-politycznej.

Argumenty wojskowe, wysuwane przez grupę wyższych dowódców, zasiadających w centralnych władzach partyjnych, wynikają z przeświadczenia o rzekomej, obecnej przewadze Sowietów w dziedzinie zbrojeniowej nad Zachodem, która to przewaga winna być póki czas wyzyskana. Pośpiech jest uzasadniany ciężarem gospodarczym zbrojeń, którego na dalszą metę Kreml chciałby uniknąć, co byłoby umożliwione zwycięskim rozstrzygnięciem któregoś z najważniejszych problemów światowych, jak np. Berlina.

Inne czynniki, skłaniające Chruszczowa do pośpieszenia szukania, choćby ryzykownego, sukcesu na terenie zagranicznym, to ferment wewnętrzny na tle braków żywnościowych i rozluźnienia dyscypliny, który wymaga zaostreżenia kursu policyjnego. Międzynarodowe napięcie, zwłaszcza połączone z jakimś sukcesami, ułatwia oczywiście wznowienie terronu i tą drogą przywódcy sowieccy spodziewają się jednym szczęśliwym posunięciem osiągnąć dwa cele.

Impreza kubańska, bynajmniej zresztą jeszcze nie skończona była pierwszą próbą wysondowania możliwych reakcji amerykańskich, ale było by lekkomyślnością przypuszczać, że zaboreza inicjatywa Moskwy już się wyczerpała. Stolicę zachodnie zdają się też zachowywać należytą czujność na wszystkich drażliwych odcinkach z berlińskim na czele.

JESIENNE MANEWRY WOJSK
PAKTU WARSZAWSKIEGO

Wojownicze nastroje były ostatnio przez komunistyczne reżimy podtrzymywane przez krzykliwą propagandę gotowości bojowej paktu warszawskiego. Podczas jesiennych tygodni tego roku odbyły się manewry trzech grup: 1) sowiecko-wschodniemiecko-polskiej, zakończonej paradnym przeglądem oddziałów w Szczecinie; 2) sowiecko-wschodniemiecko-czeskiej, która defilowała na zakończenie ćwiczeń w Pradze i 3) sowiecko-rumuńsko-bułgarskiej której manewry zakończono przeglądem w Konstancy. Ćwiczenia te i demonstracje wojskowe miały bez wątpienia na celu pokazanie Stanom Zjednoczonym, że wszystko jest przygotowane do faktu dokonanego w Berlinie, do którego odnosi się czternaste hasło tegorocznej serii, liczącej ich 103 i ogłoszonej przez partię, jak zwykle z okazji obchodu bolszewickiej rewolucji. Zostało ono sformułowane, jak następuje: „Ludy wszystkich państw! Żądajcie zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami i przekształcenia zachodniego Berlina w wolne, zdemilitaryzowane miasto“.

NOWE EGZEKUCJE ZA ZBRODNIENIE...
WOJENNE

Notowaliśmy już w tej rubryce, że prasa sowiecka podaje częste informacje o procesach i wyrokach na rzekomych zbrodniarzy wojennych sprzed dwudziestu blisko lat. Ostatnio znów ogłoszono wiadomość o wykonaniu wyroku śmierci na grupie Litwinów za rzekomą kolaborację z Niemcami w roku 1941. Na rozstrzelanie skazano również sprawców napadu na kasę oszczędności w Baku na Kaukazie i wyrok wykonano. Mnożą się także surowe wyroki na chuliganów, pasorzytów i czarowników, które się też szumnie reklamuje, aby skie, wać w tę stronę powszechne niezadowolenie. Czynione są też usilne próby umniejszenia niechęci do „ochotniczej milicji“, która jest ogólnie znienawidzona a nie posiada dostatecznego autorytetu. Prasa więc wypisuje pochwalne — a bezskuteczne — hymny na jej cześć.

POŁKA

KSIĘGARSKA

GIELZYŃSKI WITOLD, PRASA WARSZAWSKA 1661-1914. Warszawa 1962. Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Str. 526, nakład 3000 egz.

Po książkach J. Lankaua o „Prasie staropolskiej“ i J. Łojka o „Dziennikarstwie i prasie w Warszawie w XVIII w.“ (zanotowanych w „Pótle“ „Orla“, nr 7. 1961) jest to nowa, objętościowo znacznie obszerniejsza od tamtych pozycja, związana z 300-ną rocznicą prasy polskiej. Partie książki Gielżyńskiego, dotyczące pierwowin prasy polskiej („Awizy“, ulotki, nowiny obozowe, Merkurjusz Gorczyzna i I. occiego, itp.) oraz prasy XVIII w. dublują na ogół wersje z prac Lankaua i Łojka, na pewne bardziej źródłowych i gruntowniejszych. Dla część książki tj. narracja o prasie warszawskiej XIX w. aż do końca (tj. do 1914 r.) ma charakter w pewnym znaczeniu pionierski. Istnieją bowiem opracowania szczegółowe, dotyczące poszczególnych czasopism warszawskich, ale książka Gielżyńskiego jest pierwszą historią całej prasy warszawskiej i w ogóle periodycznego czasopiśmiennictwa stołecznego. Jeśli używam terminu narracja, to dlatego, że charakteryzuje to bodaj najtrafniej rodzaj historycznego reportażu o prasie, jak napisał Gielżyński. Na podstawie oficjalnej literatury przedmiotu (wśród której znajdują i moja praca z 1924 r. o „Gazecie Warszawskiej“) autor zajmując opowiedział dzieje pism warszawskich, szczegóły rywalizacji między poszczególnymi organami, początki publicystyki i felietonu, o zwyrodnieniu prasy w pewnych okresach pod wpływem carskiej cenzury, o sytuacji materialnej dziennikarzy, o walce o wolność prasy w 1905 r. o rozbudzeniu solidarności zawodowej i o początkach organizacji dziennikarskiej. Interesujące są szczegóły dotyczące „prababki“ prasy polskiej „Gazety Warszawskiej“ i „dziadka“ „Kurier Warszawski“, zabawne są detale o różnych efemerydach i dziwadłach czasopiśmienniczych (np. o dwutygodniku warszawskim z 1822 r. pt.: „Pustelnik londyński z ulicy Picadylli“ połączonym z „Pszczółką Europejską“, wydawanym przez niejakiego K. Szteka, który po dłuższym pobycie w Anglii postanowił zapoznać Polskę ze społeczeństwem angielskim). Jeśli do tego dodamy masę personaliów redakcyjnych, charakterystykę pracy redakcyjnej, techniki drukarskiej i nakładów („Kurier Warszawski“ miał np. w 1903 r. — 28 tys. egz. nakładu), sporów wewnętrznych, trudności pisani w okresie cenzury prewencyjnej i wiele innych danych o dziennikarstwie w okresie zaboru, ilustrowanych nieraz doskonale wybranymi cytata — to zgadzamy się, że autor włożył sporo wysiłku w odtworzenie panoramy prasy warszawskiej na przestrzeni lat 250-ciu. Książka zaopatrzona jest w indeks osobowy i w indeks czasopism polskich, opracowany przez Halinę Geber.

Książka Gielżyńskiego nie może rościć sobie pretensji do dzieła akademicko-naukowego, taki bowiem charakter — o ile idzie o „yntetyczną historię dziennikarstwa warszawskiego — mogłaby mieć tylko wielotomowa praca zbiorowa. Taki charakter ma np. pomnikowa historia „Gazety Lwowskiej“ pod red. Wilhelma Bruchnalskiego, wydana w pierwszej dekadzie b. stulecia. Gielżyński traktuje historię prasy warszawskiej raczej felietonowo, dokumentuje ją tylko wrywkowo i kompiluje ją z cytowanej przez siebie literatury, sięgnięcie bowiem do źródeł przy wszystkich nastrojących się zagadnieniach przekraczałoby możliwości jednego badacza. Książka jest jednak wartościowa i każdy dziennikarz polski — także na emigracji chętnie się z nią zapozna.

S.M.

ZADUSZKI NA MONTE CASSINO

Dorocznym zwyczajem odbyło się w Dzień Zaduszny na Monte Cassino na cmentarzu poległych żołnierzy 2. Korpusu Polskiego nabożeństwo żałobne, które odprawił ks. arcyb. Józef Gawliński, Opiekun Uchodźstwa Polskiego. Obecny był na nabożeństwie ks. arcybiskup Luski w Rodezji Kozłowiecki, duchowieństwo polskie z Włoch, W. Brytanii i Stanów Zjedn., tutejsi rodacy i prezes SPK we Francji plk M. Czarniecki. Po nabożeństwie amb. RP, przy Watykanie Papież złożył wieniec przed płonącym zniczem cmentarza. W imieniu

SPK. Kwiaty złożył prez. W. Zahorski. Tego samego dnia po południu przybyli na cmentarz Monte Cassino ks. arcyb. Kominek i sekretarz Episkopatu ks. bisk. Choromański, którzy odprawił modły różańcowe za poległych.

Na polski cmentarz wojenny w Loreto udali się w Dzień Zaduszny ks. ks. biskupi Bednorz, Fondaliński, Goliński i Wójcik. Inni biskupi polscy przebywający w Rzymie w związku z Soborem odwiedzili cmentarz na Monte Cassino i Loreto zaraz po przyjeździe do Włoch. J. Gn.

MARYA KASTERSKA

Rapperswill zmartwychwstał

Niewielu jest dziś Polaków, którzy znają jeszcze dzieje Rapperswillu polskiego, który przez długie lata odgrywał wielką rolę w historii emigracji XIX-go i początku XX-go wieku, który był centrum polskości w Szwajcarii, świadectwem kultury polskiej i jej rozwoju poprzez wieki i silnym czynnikiem w czasach naszego wytrwałego oporu w trzech zaborach. Tę twierdzącą polską zburzyliśmy sami, niech mi wolno będzie powiedzieć, nieopatrznie. Wiem, że będą tacy, którzy zaprzeczają temu twierdzeniu. Ale to nie moje tylko zdanie. To samo mówił mi nieraz nieodżałowany mój przyjaciel i starszy kolega uniwersytecki, a znany bibliotekarz i bibliofil, Stanisław Piotr Koczorowski, to samo mówili liczni uczeni polscy, przeciwni wywożeniu zbiorów rapperswillskich do Polski. Przeważał entuzjazm wolności i patriotyzmu, może źle zrozumiany, ale szczerzy. I wspaniałe zbiory spłonęły w Warszawie podczas ostatniej wojny.

Dziś, gdy cegielka po cegielce Polacy w Szwajcarii z prof. Alfonsem Bronarskim na czele starają się przy życzliwej pomocy Szwajcarów, wskrzesić stare tradycje, warto powiedzieć słów kilka o Rapperswillu i o tym, czym się stał i czym był dla Polaków.

DZIEJE ZAMKU RAPPERSWILLU

Zamek Rapperswillu ma dość długą historię, gdyż pochodzi on z XIII-go wieku. Najpierw był siedzibą hrabiów Rapperswill, do których należał i niejako stolicą ich hrabstwa. Później, prawdopodobnie po wygaśnięciu tego rodu, przeszedł w posiadanie arcyksiążąt z rodu Habsburgów. Podczas wojen Szwajcarów z Austriakami — wówczas będącymi częścią Cesarstwa niemieckiego — gdy zorganizowała się Konfederacja Helwecka, Zamek Rapperswill był nieraz oblegany i przechodził z rąk do rąk. Gdy wreszcie Szwajcarzy wywalczyli sobie zupełną niepodległość, był zniszczony i podupadł znacznie. Dawną swoją świetność miał odzyskać dopiero w XIX-ym wieku dzięki Polakom.

RAPPERSWILL HRABIÓW PLATER

Rewolucja polska 1830-1831 r. wygnana z kraju wielu emigrantów. Leczą rząd carski, konfiskując majątki niektórych, nie wywłaszczając innych, można też było w porę przepisać swój majątek na osoby z rodziny lub nawet obce nie skompromitowane jawnie. Średnie i wielkie fortuny pozostały w rękach właścicieli, co pozwalało im pomagać emigracji i sprawie polskiej. Po rewolucji 1863 r. powtórzyły się konfiskaty, ale i tym razem udało się ocalić większość własności ziemskich.

Wśród emigrantów polskich, przybyłych do Szwajcarii, po 1863 r., znajdował się hrabia Władysław Plater. Wiadomo, że rodzina hrabiów Platerów odznaczała się wielkim patriotyzmem, dość wspomnieć nazwisko hrabianki Emilii Plater, bohater-

ki Rewolucji 1830 r. Człowiek bogaty patriota i polityk, hrabia Plater upodobał sobie Zamek rapperswillski twierdząc, że mu przypominał zamek krakowski na Wawelu. Postanowił stworzyć tu Muzeum Polskie, a zarazem centrum polskości w Szwajcarii. Zaczął od wzniesienia pomnika Konfederacji Barskiej z 1768 r., w stuletnią jej rocznicę. Pomnik ten stał w „Kolumnie Barskiej“, istnieje i dzisiaj blisko Zamku, gdzie go przeniesiono z dziedzina zamkowego. Następnie hrabia Plater restauruje gruntownie swoim kosztem Zamek rapperswillski i uzyskuje od gminy Rapperswillu kontrakt na 99 lat w r. 1870. Właściwie trwa on dotąd.

MUZEUM POLSKIE

Teraz zaczyna się organizacja Muzeum Polskiego w Zamku. Plater nie szczędzi ani kosztów, ani pracy. Popiera ją go gorąco, nie tylko rodacy, lecz i Szwajcarzy, a szczególnie znany ich poeta Godfrvd Keller z Zurychu. Fundacja Platerów rozrasta się nadspodziewanie. Poza rozmaitymi kolekcjami, znajdują się tu i dokumenty i rzadkie bardzo druki, i wspaniała biblioteka i wielka pamiątka, skarb narodowy, serce Kościuszkowski, przechowywane w kaplicy zamkowej. A prócz tego ileż dokumentów, pamiątek i wspomnień emigracji! Licznie zjeżdżają się tu Polacy z kraju i z zagranicy, wiele sławnych nazwisk grupuje się dookoła polskiego Rapperswillu: Jeż (Milkowski), zagłąda tu Konopnicka i Orzeszkowa, pracuje tu przez czas jakiś Stefan Żeromski. Rapperswill to coś na kształt „Polski w miniaturowej“ — jak to ładnie określa dziś prof. A. Bronarski.

TRAGEDIA ZBIORÓW
RAPPERSWILLSKICH

Wojna światowa 1914-1918 roku. Powstaje Państwo Polskie, wolne, niepodległe. Powstaje myśl przeniesienia zbiorów z Rapperswillu do Polski, do Warszawy. Motywuje się to testamentem hrabiego Platera, który, święcie wierząc w przyszłość swej Ojczyzny (jak zresztą wszyscy Polacy), wyrażał życzenie, aby kiedyś zbiory te znalazły się w wolnej Polsce. Życzenie do pewnego stopnia zrozumiałe i słuszne, pośpieszono się tylko zbyt do wykonania go, nie mówiąc już o tym, że to muzeum polskie w Szwajcarii większą oddawało usługę polskiej propagandzie i polskiej kulturze, niż w Warszawie. Pamiętam, że dr Lewak, ostatni kustosz tego Muzeum z wielką radością przewoził te zbiory do Polski i będąc w Paryżu, wstąpił do nas i był zdziwiony, gdy oboje z mężem powiedzieliśmy mu, że lepiej by było, żeby zostały w Rapperswillu. Tego samego zdania był i Koczorowski później w wiele lat po tym, gdyśmy się zobaczyli po wojnie ostatniej w Paryżu, gdzie mógł jeszcze przyjechać, przywożąc do Biblioteki Polskiej paryskiej, zagrabione przez Niemców, ale szczęśliwie odnalezione druki. Wszystkie zbiory, bezcenne pamiątki i dokumenty, wywiezione z Rapperswillu do Warszawy spłonęły tam podczas wojny i powstania.

RAPPERSWILL OPUSTOSZAŁY,
LE CZ JESZCZE POLSKI

W opustoszałym Zamku rapperswillskim po wywiezieniu jego muzeum w 1927 r., rząd polski chciał urządzić coś na kształt Muzeum Polskiej Odrodzonej i jej rozwoju. Jakkolwiek nie było to dostatecznie wykończony, przydało się bardzo podczas wojny, gdy przybyło tu 12.000

polskich żołnierzy z 2-ej Dywizji, po pogromie Francji. Mogli się skupić dookoła czegoś, co dla nich przedstawiało Polskę Wolną w miniaturowej.

SMUTNA KARTA RAPPERWILLU

Po skończonej wojnie, reżim komunistyczny, rządzący w Polsce, zagarnął w swoje ręce Zamek rapperswillowski, tak, jak obecnie chciałby zagarnąć Bibliotekę Polską paryską. Rapperswill nie miał tytułu polskich obrońców, co nasza Biblioteka, lecz Szwajcarzy okazali się mądrymi znawcami ludzi i reżimów. Bardzo prędko zorientowali się, że Zamek stanie się placówką propagandy komunistycznej w Szwajcarii, czego wcale nie pragnęli. Wobec tego zamknęli go, a gmina Rapperswillu wytoczyła proces, aby uznać kontrakt za nieważny.

RAPPERSWILL POLSKI ODŻYWA

Teraz dopiero Polacy wolni w Szwajcarii mogli rozpocząć starania o wskrzeszenie powoli Polskiego Rapperswillu. Nie mieli już ani środków materialnych hrabiego Platera, ani nie mogli liczyć na pomoc z kraju, gdzie wszystkie wielkie i średnie fortuny znikły, zniszczone. Trzeba było rachować tylko na własne siły i na własne ubogie środki. Leczą przyłączyli się do nich wkrótce i Szwajcarzy polonofile, pomni dawnych tradycji przyjaźni polsko-szwajcarskiej Powstało Towarzystwo Polsko-Szwajcarskie Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswillu. Pierwszym jego wyczynem była wystawa retrospektywna, nawiązująca do fundacji hrabiego Platera, otwarta 25 kwietnia 1954 r. Ponieważ miała ona powodzenie, mimo swych bardzo szczupłych ram, więc otwarto już na szerszą skalę, „wystawę przyjaźni polsko-szwajcarskiej po przez wieki“, która cieszyła się jeszcze większym powodzeniem w r. 1958.

Towarzystwo przygotowuje obecnie jeszcze większą wystawę, mającą za przedmiot Stulecie Powstania 1863 r. Poważnej pomocy udziela mu w tym Towarzystwo Historyczno-Literackie paryskie z swoją Biblioteką Polską. Na czele stoją ze strony szwajcarskiej: Dr Theodor Gut, prezes, prof. de A. Loepfe, sekretarz (Lucerna). Ze strony polskiej: prof. dr A. Bronarski, wiceprezes, oraz Z. Pregowski, architekt, (Winterthur).

Podczas niedawnej bytności mojej w Szwajcarii miałam sposobność mówić o tym kilkakrotnie z prof. Bronarskim, który jest niejako duszą tego przedsięwzięcia i mimo swych zajęć profesora literatury polskiej na uniwersytecie we Fryburgu, nie szczędzi pracy, ani rozjazdów po rozmaitych miastach szwajcarskich, aby wystawa była gotowa na czas i wypadła jak najpiękniej. Warto dodać, że Towarzystwo Polsko-Szwajcarskie Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswillu zaczęło od jedynej skromnej sali w Zamku, a obecnie „wywojowało“ już ich sobie cztery i wcale nie myśli zoprzestać na tym. Rapperswill Polski odżywa.

POMOC CHORYM

Wpłacili na lekarstwa do Kraju: 4088 L.S. So. (por. Powroźnik) — 50,00 N.F., 4085 L. S. Co. (kpt. F. Iwanski) 104,46 N.F., 4657 L. S. Co. (mjr Kroja-Kopec) 145,00 N.F., 4013 L. S. Co. (kpt. J. Jaworski) 50,00 N.F. Serdecznie dziękujemy!

SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
wykonują
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYP PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road.
LONDON S.W. 11.
Telefon: BAT 0879

Polskie życie kulturalne

ZWIĄZEK PISARZY I POPIS LECA W LONDYNIE

W salonie zebrań „Ogniska Polskiego” odbyło się doroczne Walne Zebranie, krótko zwane Zjazdem Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie, przy dość licznej frekwencji czynnych członków. Było ono nieco odwołanym — z powodów rzeczowych — zamknięciem dłuższej niż zazwyczaj kadencji, która tym razem trwała ok. półtora roku. Zjazd powitał prez. W. Wóhnot, po czym zaprosił na przewodniczącego Zjazdu Juliusza Sakowskiego, co zostało przyjęte przez aklamację. Zastępcami byli gen. Bohusz-Szysko i M. Sambor. Sekretarowała Marta Reszczyńska-Stypińska.

Przed przystąpieniem do obrad odczytane zostały listy szeregu osób, z usprawiedliwieniem nieobecności i życzenia pomysłowych obrad. Do czterech chorych kolegów: Nowakowskiego, Grubińskiego, Pragiera i Kobrzyńskiego postanowiono wysłać do Zjazdu telegramy z życzeniami powrotu do zdrowia.

SPRAWOZDANIE PREZESA

Działalność ogólną szczegółowo nawiałil zastępujący prezesa W. Wóhnot, omawiając główne działy, jak wieczory literackie i herbaki koleżeńskie dla przyjezdnych, akcje związane z przyznawaniem nagród literackich, przy czym uwzględnione zostały również nagrody przyznawane niezależnie od Związku, jak fundacji Kościelskich lub C. i K. Bednarczyków, wreszcie akcje wydawnicze Związku, w ramach której pojawił się nowy tom „Norwid Żywy” pod red. W. Günthera, i czynione są przygotowania do wydania dwutomowego wydawnictwa poświęconego „Piśmiennictwu emigracyjnemu” (bez uwzględnienia piśmiennictwa naukowego).

W uzupełnieniu członek zastępującego zarządu Jan Ostrowski referował sprawę kontaktów Związku z młodszym pokoleniem pisarzy, zgrupowanym głównie przy miesięczniku „Kontynenty”, przypominając współdziałanie Zarządu Związku w okresie, gdy pismo to przeżywało kryzys, przed objęciem redakcji przez dr Floriana Śmieję. Omówione zostały też trudności, na jakie natrafiała stała współpraca z przedstawicielami tego pokolenia, w ramach Związku, przypominając jednak, że w gronie 10 nowych członków Związku, przyjętych w ubiegłej kadencji, znajduje się Krzysztof Rowiński, który ogłaszał swe opowiadania nie tylko na łamach „Wiadomości” i periodyków angielskich, ale również i „Kontynentów”. Następnie M. Reszczyńska-Stypińska odczytała przygotowany przez siebie szczegółowy wykaz wszystkich zebrań Zarządu i imprez Związku w tej bardzo pracowitej kadencji, przyjęty ogólnym aplauzem. Sprawę kontaktów z młodymi nawiałil również W. Guenther w związku z organizowaniem dla nich przez P.U.N.O. wykładów powszechnych.

Sprawozdanie finansowe złożył N. Sadek, stwierdzając na zakończenie, że bilans zamyka się sumą £ 357.19.21/2. Część przedpołudniową Zjazdu zakończono wysłuchaniem sprawozdania Komisji Rewizyjnej Związku, złożonego przez T. Terleckiego, który w imieniu Komisji, w skład której wchodziła H. Skarbek-Peretiatkiewiczowa, postawił

Ukazała się nakładem „Kultury”
PAWŁA ZAREMBY
HISTORIA POLSKI
CZĘŚĆ I

obejmująca okres od zarania Państwa do r. 1506 to jest doprowadzona do przelomu Średniowiecza i czasów nowożytnych.

„HISTORIA POLSKI” Pawła Zaremby jest próbą syntezy dziejów Polski na tle rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego Europy

600 stron dużego formatu z indeksem.
Cena 30/-. \$ 4.25 lub 20 NF.
Sprzedaje w W Brytanii:
„GRYF”
171 BATTERSEA CHURCH RD
LONDON S.W. 11

wniosek o udzielenie zarządowi absolutorium, co zebrani przyjęli oklaskami.

LOS DOMU PISARZA

Po koleżeńskim obiedzie popołudniową część zebrania poświęcono głównej trosce Związku, jaką jest sprawa dalszego losu Domu Pisarza na Finchley Road. Specjalna komisja uproszona przez Zarząd Związku do zbadania tej sprawy, w składzie mec. S.L. Karpiński, mec. M. Chmielewski i N. Sadek, nie mogła dojść do uzgodnionej opinii. Wobec tego N. Sadek referował ją ze swego osobistego punktu widzenia.

Zaproszony na to zebranie przewodniczący Komitetu Opiekunczego (trustu) Domu Pisarza dr Witold Czerwiński udzielał wyjaśnień, dotyczących stanowiska tego Komitetu z punktu widzenia obowiązującego prawa. W skład tego Komitetu wchodzi ponadto pp. płk. T. Rybotycki i T. Zawicki. Po obszernej dyskusji, w której brali udział pp. W. Wóhnot, M. Lisiewicz, T. Terlecki, J. Garliński, J. Niemojowski, T. Lisiewicz, Z. Bohusz-Szysko, J. Ostrowski, W. Strzałkowski, J. Sakowski, J. Bujnowski, i in. przytożono uzgodniony wniosek J. Garlińskiego i T. Terleckiego o powołanie Komisji dla zbadania sprawy Domu wespół z Komitetem Opiekunczym i przedstawienia swoich wniosków nadzwyczajnemu walnemu zebraniu Związku do rozstrzygnięcia. Do komisji tej weszli: J. Garliński, Z. Bohusz-Szysko i N. Sadek.

Z powodu spóźnionej pory w innych punktach sprawozdania Zarządu ograniczono się do pytań i odpowiedzi i przystąpiono do wyborów nowych władz. Na wniosek komisji matki przyjęto jednogłośnie kandydaturę na prezesa W. Wóhnotę (po raz piątą), członków zarządu pp. Z. Bohusza-Szysko, C. Dobka, W. Günthera, M. Lisiewicza, Teodozję Lisiewicz, M. Reszczyńską-Stypińską, N. Sadek i J. Żywnię. W skład Komisji Rewizyjnej weszli: J. Bujnowski, S. Legeżyński i T. Terlecki, a do sądu koleżeńkiego powołano Z. Kozarynową, M. Kukiela, Z. Nowakowskiego, A. Pragiera i Wita Tarnawskiego. Delegatami zagranicznymi Związku zostali: J. Wittlin (USA), T. Nowakowski (Niemcy Zach.), Z. L. Zaleski (Francja), i J. Woszczyński (Ameryka Połud.).

Na zakończenie obrad poruszono sprawę udziału w przygotowaniach do obchodu 100 rocznicy powstania styczniowego oraz sprawę utrzymania nagrody im. Herminii Naglerowej.

WIZYTA JERZEGO LECA

Ostatnio przybyłym z Kraju do Londynu pisarzem jest lwowianin Stanisław Jerzy Lec, liryk i satyryk, któremu „Kontynenty” urządziły wieczór autorski w sali Instytutu im. gen. W. Sikorskiego. Zagaił go i przewodniczył mu dr Florian Śmieja, który właśnie tłumaczy na hiszpański myśli Leca, dając jego sylwetkę literacką, jako poety wybitnego przedstawiciela satyry polskiej, którego utwory znajdują też szeroki oddźwięk za granicą, w licznych przekładach.

Z miłym zażenowaniem Lec rozpoczął swój wieczór od wyznania, iż po raz pierwszy ma sposobność mówienia do publiczności po polsku poza krajem i w dowcipny sposób tłumaczył, jak to satyryk wspiera w nim liryka. Następnie przez przeszło godzinę czytał wyjątki ze swych licznych zbiorów: najpierw liryk z „Notatnika Polowego” (z 1944 r.), z „Rękopisu jerozolimskiego” (z pobytu w Izraelu), i in., jak zbiór „Kpię i o drogę pytam” i „Przylądek złej nadziei”, które autor też uważa za tomiki liryki, choć nie brak w nich już akcentów satyrycznych. Mała forma fraszki przeplatała się z aforyzmatami, lub epigramatami, i tak niespostrzeżenie przeszedł do pierwszego tomiku czysto satyrycznego „Spacer cynika” napisanego w latach 1936-38, ale wydanego po wojnie. Obok nieustannych aluzji do ówczesnych wydarzeń i stosunków, nie brak było tu akcentów bardzo swawolnych, a raz po raz dowcipy wywoływały salwy śmiechu oraz spontaniczne oklaski. Od form wierszowanych Lec przeszedł do prozy, wszędzie błysk refleksji łącząc z wymyślną formą ujęcia. Za ten milion błysków i fajerwerków zebrani nagrodzili go hucznymi oklaskami. Wieczór zakończył wyznaniem o temat swego warsztatu pisarskiego, w odpowiedzi na zapytanie z sali. Na razie autor zarzeka się pisania do teatru. Miły wieczór zupełnie odmienny od tych do których przywykliśmy. (n)

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Zastępując chorego kolegę w redakcji. Pośpiesznie i raczej bezmyślnie odpisuję za niego na listy, przeglądam t. zw. „teczkę” w której leżą różne materiały t.j. dzieła i informacje nadesłane mu przez korespondentów. Widzę znaki zapytania, wykrzykniki i krótkie uwagi na marginesie. Nie wszystkie rozumiem, bo jak każdy w naszym zawodzie posługuję się skrótami, które on tylko pamięta i rozumie. Wreszcie zabieram się do korekty „Przeglądu Sportowego”, który ma się ukazać w bieżącym numerze.

Kondotierzy piłkarscy

Ogarnia mnie przerażenie. Czytam i oczom nie wierzę. Jacyś przekupnie uwiązują się po Brazylii i chcą „kupić” dla swych drużyn kilku czołowych zawodników. Za osobnika nazwiskiem Pele ofiarowują komuś milion dolarów. Inny kopacz piłki, tym razem angielski, nazwiskiem John Charles, przechodzi z rąk do rąk we Włoszech. Płacą za niego kroććć sumy. Także w tenisie; zawodnik Rod Laver „jest wart 30 tysięcy funtów gotówką” i tyle za niego daje „stajnia sportowa” Jacka Kramera.

Co to wszystko znaczy? A no, znaczy dosłownie to co się pisze. Uzdolniony sportowiec, piłkarz przede wszystkim, sprzedaje się jak kondotier najwięcej dającym. Raz gra w barwach Mediolanu, po tym w liżbońskiej Benficy, wraca do klubu angielskiego i znowu znajdujemy go we Włoszech. Jak kondotierzy piętnastowieczni. Wów-

Nagroda dla gen. Kukiela

za „Dzieje Polski porobiorowe”

7 listopada b.r. odbyło się w Paryżu, w mieszkaniu amb. Kajetana Morawskiego, zebranie jury nagrody literackiej ufundowanej przez amb. Edwarda Raczyńskiego. Statut nagrody przewiduje, że zostanie ona przyznana za oryginalne i wartościowe dzieło pisarza polskiego na emigracji w języku polskim lub obcym, ogłoszone w latach 1957-1962. Nagroda wynosi 100 funtów.

W zebraniu jury wzięli udział: Józef Czapski, amb. Kajetan Morawski, amb. Edward Raczyński, Juliusz Sakowski, Wiesław Wóhnot i Wacław Zbyszewski. Członek jury prof. Oskar Halecki nadesłał swoją opinię i głos listownie. Przewodniczył amb. Kajetan Morawski.

W dłuższej dyskusji wysunięte zostały kandydatury: Mariana Kukiela za „Dzieje Polski porobiorowe”; Józefa Mackiewicza i Kazimierza Wierzyńskiego — za całokształt twórczości; Czesława Miłozza za książkę o Stanisławie Brzozowskim p.t. „Człowiek wśród skorpionów”.

Po ożywionej dyskusji jury przyznało jednogłośnie nagrodę gen. Marianowi Kukielowi. Uroczystość wręczenia nagrody odbędzie się w terminie późniejszym w Londynie.

KRZYŻÓKWA NR 485/62

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) kłopot, przeprawa; 6) i 8) cesarzowa z Martyniki; 7) jeden z Zygmunatów; 9) przy boku z samego rana?; 10) przestraszone drzewo?; 11) w przysłowiu z czasem; 12) na morzu i czasem na ustach; 14) słynie z biedy (4, 9); 19) i 20) brudas; 21) jedna z Portic; 22) nagromadzenie informacji, szczegółów; 23) grecki pieniądz na twarzy, rozrywa? (wspak); 24) celka; 25) gra, dawny władca.

Pionowe: 1) na żmudzi zamiast niego był starosta, urząd; 2) urzędnik rzymski lub francuski, czasami „siadź”; 3) nie wie co robi druga z pary?; 4) zawsze z księdzem? (wspak); 5) hetman z Białegostoku; 12) hold; 13) tańczyła przed Peer Gyntem; 14) miasto Wallenroda; 15) miały miejsce przed sejmem; 16) przychodzi po Heroda; 17) Loretańska...; 18) gagatek.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

Nr 475/62
Poziome: 2) szalbiarz, 7) obora, 8)

czac wojna była zajęciem handlowym, dzięki czemu trwała długo i bez rezultatu, bo poco było narażać się na śmierć by osiągnąć zwycięstwo, kiedy lepiej było walczyć do określonego terminu, zachować zdrowie i wynająć się przeciwnikowi na następną rundę.

Różnicę widzę w tym tylko, że wówczas pieniądze inkasował żołnierz najeźmy a dziś za „wartościowego” sportowca trzeba płacić cenę kupna jakimś przedsiębiorcom, którzy kupili go przedtem od innego przedsiębiorcy. Nie wiele pomoga, że przedsiębiorca nazywa się „klubem sportowym”.

Co to ma wspólnego ze sportem? Ogronne nieporozumienie, z którym należy skończyć. Chociażby po to by móc z czystym sumieniem protestować przeciwko wypaczeniu pojęcia sport w krajach totalnych, gdzie zawodnik hodowany jest jak koń na wyścigi. W świecie boisk piłkarskich można zakrzyknąć: „wart Pac Pałaca”.

Najpiękniejsza główka w Polsce

Język fachowy obliczony jest na to by fachowcom ułatwiać porozumienie. Tak jest w chemii, w budownictwie, w zwalczaniu chorób kukurydzy, w krawiectwie i w astrologii. We wszystkim. A zatem także w sporcie. Język fachowy ma jednak tę wadę, że często wprowadza w błąd niefachowca.

Miałem stryjka, stuprocentowego mężczyznę, który interesował się bardzo (i bardzo fachowo) pięcią piękną. Nie interesował się natomiast sportem, z wyłączeniem polowania, jeśli to zajęcie można podciągnąć pod miano sportu. Pamiętam moje zdumienie, gdy stryj w kiosku gazetami na poznańskiej „Kaponierze” zażądał „Przeglądu Sportowego”. Zwałił go ogromnym tytułem: „Najpiękniejsza główka w Polsce”. Pamiętam też jego oburzenie gdy rozwinął gazetę. „Oszuści” — syknął ze złością. Pod zachęcającym tytułem widniała ogromna fotografia lysęgo faceta na którego twarzy można było dojrzeć wszystko z wyjątkiem urody. Był to Kniota, czołowy wówczas piłkarz. Rzeczywiście najpiękniej strzelał główki...

Kowalscy w Australii

Tygodnik „Świat” — Warszawa 28 października br. Nr 43/588. Rok XII. Na stronie 4-tej pani Eużbieta Krawiec stwierdza na w. tepie swego wypracowania, że zawiera „Fragmenty autentycznych listów”. Dodaje skromnie, że „nie zawierają wnikliwej analizy stosunków ekonomicznych, politycznych i obyczajowych w Australii”. Wyjaśnia, że autorzy listów „państwo Kowalscy” zarabiali w Polsce razem 4100 zł., że mieli córkę Ewę, która mając lat 10 „nie pomnażała jeszcze dóbr materialnych rodziny”. Kowalscy mieli w Warszawie dwupokojowe „komfortowe” mieszkanie. Nie wiem na czym może polegać „komfort” dwupokojowego mieszkania dla trzypokojowej rodziny, lecz nie zastanawiam się nad tą tajemnicą, by nie dać się odciągnąć od właściwej treści listów pisanych z Australii przez Kowalskich.

Na początku było pięknie. W Australii zdumiała przybyszy ogromna ilość samochodów, tudzież fakt, że się jada mięso chude, odrzucając tuszecz i kości. W dalszych listach mnożą się felery Australii. Można by je uszeregować jak następuje:

1. Ludzie mówią piekielnym angielskim językiem. 2. Nie chodzą do kina bo w każdym domu jest telewizja. 3. Pracują bardzo ciężko. Każdy — cholera — musi pracować by zarobić. I to dobrze się przy tym nazwijąc. 4. Ogólnie biorąc „życie jest niepewne”. „Liczne wojskowe bazy amerykańskie rozlane po całej Australii powodują nieustanny wzrost wojennej paniki.” Niedobrze. Lecz ciekawie. Dowiedzieliśmy się o amerykańskich bazach w Australii, i to dzięki warszawskiemu tygodnikowi. Jakże starannie zatajono ten fakt, a mówi się, że na Zachodzie gazety o wszystkim piszą... Na szczęście dla państwa Kowalskich nie popadają w panikę jak Australijczycy... bo „My pocieszamy się myślą o potędze i pokojowej polityce Rosji”. Bravo!

Coraz bardziej ponuro wygląda obraz kraju opętanego przez kapitalistów. Zupelna niewola. „Tu nikt nie ośmieliłby się wyrażać swego niezadowolnienia, lub krytykować cokolwiek”. Państwo Kowalscy marzą o powrocie i obiecują, że po powrocie nie będą zwracali uwagi na „błędy i wypaczenia”. Nowe „bravo” z mojej strony.

Nie ma się czego śmiać z tęsknoty Kowalskich do Warszawy. Aklimatyzacja w dalekim kraju, praca bez znajomości języka, brak rozrywek — Kowalscy ulokowali się w jakiejś miejscinie — wszystko to są rzeczy zrozumiałe. Australia jest zresztą krajem młodym, pionierskim jeszcze.

Jest wszakże jedno „ale”, które osłabia wartość moralną, jaki pani Elżbieta Krawiec podsuwa czytelnikom „Świata”. Informacje o braku opieki społecznej, o wycisku robotnika, o zacofaniu technicznym, są bardzo ciekawe lecz niestety nieprawdziwe. Radziłbym na przyszłość nie układać „listów z Australii” na podstawie wycinków z gazet, lecz na podstawie obserwacji na miejscu. Byłyby skuteczniejsze; byłaby szansa, że ktoś w nie uwierzy. Pani Krawiec uprościła sobie zadanie. A to nieładnie. Porządna propagandzistka nie powinna się ograniczyć do łatwizny. Powinna popracować nad otrzymanym zadaniem, gdyż może się narazić a zarzut „brakorobstwa”.

Warszawiacy to na ogół łebski naród i diablo podejrzliwy. Pisząc dla nich nie wystarczy powiedzieć sobie: sie volo, stat pro ratione voluntas, bo odpowiedzą zaraz: bujać to n.y ale nie nas...

„Niebellungen Lied”, czyli piła na weselo

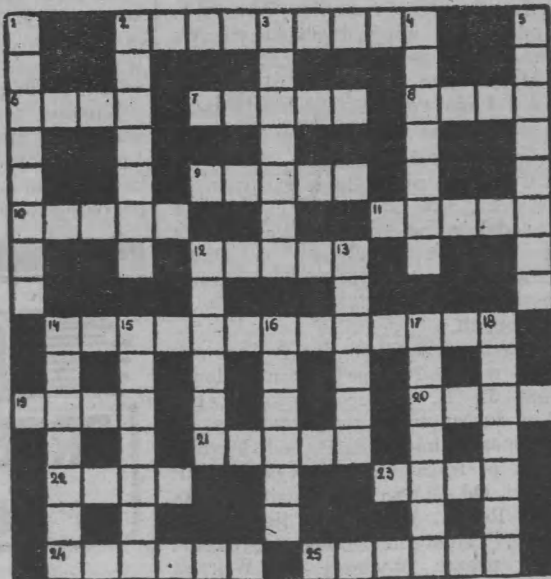
„I po dwudziestu godzinach oraz po milionach taktów partytury jesteśmy dokładnie w tym samym miejscu z którego wyruszyliśmy” — kończy swą genialną humoreskę muzyczną Anna Russel.

Nazywa się ją i słusznie najzabawniejszą kobietą świata. Z tym, że jej zmysł humoru nie ogranicza się do słów, lecz potrzebuje także muzyki. Od kilkunastu lat zabawia widownię Ameryki i Europy, własnym programem groteski muzycznej. Doszła do przekonania, że jej znacznie lepiej pójdzie parodiowanie opery, śpiewu i kompozycji niż uprawianie tych sztuk na poważnie. Robota, przyznać trzeba trudniejsza, choć wydać się może łatwiejszą. Zupelnie jak z obrazami Picassa — trzeba dobrze znać malarstwo i technikę malarską by pozwolić sobie na stosowanie daleko udających skrótów formy i barwy. Nie inaczej jest w muzyce i nie innym warunkom odpowiada twórczość Anny Russel.

Parodia „Niebellungen Lied” należy do najwspanialszych. Napuszony styl wagnerowski i nadęta pod same niebiosy tematyka germańskiego bohaterstwa kurczy się do rozmiarów muzycznego i tematycznego nonsensu. Całość przegód brunhildowo-wotanowo-Rheingoldowo-Siegfriedowych ściągą się do kilku słów i kilku taktów, wyrosłych w atmosferze wiekowego „Siegheilu” i zątegłego piwka Bierstuby. I jest boleśnie przeżabawne.

Anna Russel mieszka w luksusowej rezydencji w Pensylwanii gdzie opracowuje swe skecze humorystyczno-muzyczne i raz po raz wyrusza na podbój serc tych wszystkich, którzy potrafia się śmiać muzycznie. Rezydencja kpiarzko nazwana „Walhalla”. „Dlaczegożby nie?” — tłumaczy Anna Russel — „przecież to Wagner za nią zapłacił”.

J. P. H.



KRONIKA WOJSKOWA

WIELKA BRYTANIA. W pewnych kołach wojska lądowego, którego szefem sztabu jest obecnie gen. Hull a ministrem Profumo, rośnie niezadowolenie z dotychczasowej polityki zbrojeniowej ministra obrony Thorneycrofta. Komentatorzy wojskowi krytykują m. in., że dotychczas nie dopuścił do zamówienia 1.000 carriersów transportowych „Trojan” i nowoczesnego sprzętu teletechnicznego, że zbyt długo trwają próby nowego samobieżnego działka 105 mm, które ma zastąpić starą „dwudziestopięć-funtówkę”, że uniemożliwia się zwiększenie lotnictwa transportowego wojska i że zbyt długo trwają wahania, czy zamiast przestarzałych haubic — 5,5 calowych wprowadzić szybkostrzelne i samobieżne działka Boforsa kalibru 155 mm — 6,1 calowe oraz czy zamówić jako broń przeciw nisko lecącym samolotom amerykańskie „Maulery”. Wspomniane szwedzkie działko 155 mm może oddać 15 strzałów na minutę i ma zasięg 24 kilometrów, gdy brytyjska haubica 5,5 calowa może oddać na minutę tylko 3 strzały i ma znacznie mniejszą donośność.

Lotnictwo bombowe ma otrzymać amerykańskie samobieżne „Bullpup”, zanim otrzyma daleko lepsze kierownicze bomby amerykańskie „Skybolt” o b. dużym zasięgu. Lotnictwo transportowe ma otrzymać amerykańskie samoloty C-130 „Hercules” w miejsce brytyjskich „Hastings”. 801 eskadra morskich myśliwców bombowych została wyposażona w nowe samoloty „Buccaneer”. Nowe lekkie bombowce brytyjskie TSR-2 mają zastąpić przestarzałe „Canberry”. Ponieważ Francja produkuje własny typ myśliwca, zdolnego do pionowych startów i lądowań, „Balsac”, Niemcy nie kwapią się do związania z W. Brytanią w tej dziedzinie, a W. Brytania brak środków pieniężnych na samodzielne przygotowanie i produkowanie samolotów „P-1154”. Podjęto rokowania z Ameryką, mające doprowadzić do współpracy w tej dziedzinie.

Marynarka wojenna przyjęła wprawdzie na służbę nową fregatę „Nubian” o wyporności 1.800 ton i wypróbowała z powodzeniem nowy sposób wydobywania żalg z uszkodzonych i głęboko zanurzonych okrętów podwodnych, ale za to musi oddać na złom radarowego niszczyciela „Batleaxe”, uszkodzonego ciężko wskutek zderzenia podczas nocnych ćwiczeń, i ma kłopoty z powtarzającymi się aktami sabotażu na niektórych okrętach, zwłaszcza na fregatach „Ashanti” i „Torquay”. Przy wspomnianej powyżej próbie „ratowania” żalg zanurzonych okrętów podwodnych wydobyto bez szwanku 8 marynarzy z głębokości 260 stóp. Dotychczasowe środki wystarczały zaledwie na głębokości 150 stóp. Nowa technika ma podobno umożliwić wydobywanie żalg nawet z głębi sięgającej 450 stóp.

Rakieta „Blue Streak”, której produkcję jako rakiety wojskowej zarzucono przed przeszło dwoma laty, która ma jednak stanowić 1 stopień „europejskiej” rakiety kosmicznej, została ostatecznie poddana statycznemu próbom i ma być wystrzelona za rok na australijskim poligonie Woomera.

Ponieważ W. Brytania nie przeprowadzała od kilku lat eksplozji atomowych, postanowiono zmniejszyć produkcję plutoniu w zakładach atomowych Calder Hall i Chapelcross.

Pod koniec października przeprowadzono w hrabstwie Norfolk wspólne ćwiczenia spadochroniarzy brytyjskich i francuskich, które mogły mieć katastrofalny przebieg o tyle, że część spadochroniarzy brytyjskich spadała na tor kolejowy niemal bezpośrednio przed nadejściem pociągu pociągu Norwich-Londyn. Brytyjski sierżant Carde dokonał już 14 sierpnia swego 999 zeskoku. Przypuszczać należy że do dnia dzisiejszego rekordową tysiączkę już przekroczył.

Warto również zanotować ożywiająca się współpracę wojskową z Hiszpanią, obejmującą nie tylko wizyty i wspólne ćwiczenia okrętów, ale także desanty. Ostatnio podjęto rokowania na temat dostarczenia Hiszpanii, oczywiście za zapłatą, kilku okrętów oraz bliżej nieujawnionych typów sprzętu i broni. Labour Party oczywiście opowiada przeciw tym projektom.

Budowa ogromnej stacji radarowej finansowanej wspólnie z Ameryką, ma zostać ukończona w połowie przyszłego roku. Trzy ogromne „radomy”, których kopuły mają po 140 stóp w przekroju, zostały niedawno zmontowane.

Kage

MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOSĆ
najszybciej, najkorzystniej, najlepiej

wyślesz przez

P. C. STORES

S. BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

Tel.: KNI 0747

PRZYGOTOWANIA DO MILLENIUM W BELGII

Do najbardziej znamiennych osiągnięć Polonii belgijskiej należy utworzenie Komitetu Obchodów Millennium Polski. Wprawdzie długo trwały przygotowania wstępne, lecz wynikiem ich jest to, że w ramach Komitetu znalazła się cała niezależna Polonia; wszystkie organizacje społeczne i kościelne, partie polityczne, przewidziano również miejsca dla przedstawicieli istniejących ośrodków politycznych. Zdrowy rozsądek działaczy społecznych stanął powyżej drobnych rozbieżności i osobistych uprzedzeń.

Na odcinku polskim wybrano Prezydium Komitetu na okres 5 lat w składzie: prof. dr S. Glaser — przewodniczący, ks. Rektor H. Repka, hr. T. Plater-Zyberg, dr R. Wilczek — wiceprzewodniczący, major S. Lebelt — sekretarz, oraz na rok 1962 Zarząd Komitetu w składzie: inż. J. Zaniewski — prezes, J. Rząd — skarbnik, J. Bujanowski, M. Dulak, ks. Kurzawa, J. Rzemieniecki, J. Sobieski — wiceprezisi i kierownicy referatów a S. Merlo — sekretarz. Na odcinku belgijskim uzyskało zgodę na przystąpienie do Komitetu Honorowego następujących osobistości: J.E. ks. Kardynał L.J. Suenens — Prymas Bel., ministrowie Stanu: G. Thetunis, A. Delattre, R. Gillon, Comte Pierlot, Paul van Zeeland, A. De Schryver, A.E. Jansen, R. Motz.

Prezisi Partii: P. Vanden Boeynants (P.S.C.), O. Vanaudenhove (P.L.P.), Prezisi Akademii Królewskich: Baron Opsomer i prof. G. Smets. Stali Sekretarze Akademii Królewskich: prof. Ch. Manneback i prof. L. Lebaer. Rektory Uniwersytetów: J. E. biskup H. Van Wayenbergh (Louvain), M. Tubuisson (Liège), J.J. Bouckaert (Gandawa). Prezes Fund. Nar. Badań Naukowych: E. Solvay. Prezes Międzyuniwersyteckiego Inst. Badań Atomowych: J. Willems. Były premier i senator: M. J. Duvieusart. Profesorowie Uniwersytetów: J. Baugniet (Rektor h. orowy), G. Eyskens (były premier), H. Grégoire, P. Harmel (b. minister), C. Heymans (Laureat nobla), J. Van Houtte (b. premier). Prezes Instytutu Wyższych Badań w Belgii: P. de Smet b. min. i sen.). Prezes Pro Polonia, Ch. Prus-Piolutowski (b. generalny konsul honorowy Polski). Burmistrzowie miast: L. Cooremans (Bruksela), A. Buisseret (Liège), Em. Claves (Gandawa). Burmistrzowie miast uwolnionych przez wojska polskie w 1944 r.: J. Baert (Tielt), A. Dehen (Ypres), J. Denolf (Roulers), R. De Noos (Lokeren), J. Van Rcyen (St. Nicolas Waes) — wszyscy weszli do Komitetu.

Pierwszą imprezą polską Komitetu było poświęcenie Ośrodka Wakacyjnego Macierzy w Comblain-la-Tour. Ośrodek ten przeznaczony jest w pierwszym rzędzie dla młodzieży na okres wakacji a następnie jako miejsce wypoczynkowe dla starszych, jest równocześnie trwałym pomnikiem uczczenia 1000-lecia Chrztu i Państwowości Polski. Ufundowała go Polonia Belgijska przy pomocy Belgów i braci za granicą.

Do Comblain przybyło w czerwcu, ze wszystkich skupisk polskich ponad 2500 rodaków w tym licznie barwne grupy górników, młodzieży, dziesiątki pocztów sztandarowych organizacji chrześcijańskich, Związku Polaków i SPK i innych.

Polową mszę pontyfikalną celebrował, kazanie wygłosił i poświęcenia domu dokonał J. E. biskup Słoskasz (Łotyż) w zastępstwie arcyb. Gawliny. W czasie mszy chór KSMP pod kierownictwem p. Karasińskiego wykonał kilka pieśni. Od ołtarza przemówił ks. rektor H. Repka, odczytując list arcyb. Gawliny. Następnie obiad, w czasie którego prezes Macierzy R. Wilczek wita przybyłych gości, przedstawicieli organizacji, podkreśla doniosłość dnia, wynik pracy, ofiarności i poświęcenia ludzi dobrej woli, podkreśla zasługi byłego Rektora Misji Katolickiej ks. K. Kubsza, w czasie 10-ciu lat istnienia i działania Macierzy. Przemówienie po francusku wygłosił p. T. Plater-Zyberg.

Po obiedzie akademii pod namiotem, rozpoczął przemówienie p. J. Rzeźni-

niewski, sekretarz Macierzy. Przemówiał p. T. Plater-Zyberg — wiceprzewodniczący Prezydium Komitetu Millennium oraz w imieniu Belgów prelat Dejardin. Następnie popisy młodzieży, sztuczki, śpiewy i tańce narodowe, wreszcie zabawa taneczna.

Ten pierwszy tak wielki zjazd Polonii belgijskiej, na własnej ziemi w Belgii, pozostawił niezatarte wspomnienia, radość i dumę z dokonanego wspólnym wysiłkiem i z tak dużym poświęceniem dzieła.

Dar Komp. Wartowniczych we Francji na Ośrodek Millennium w Comblain-la-Tour (Belgia).

Panu Kap. W. Szubińskiemu i ofiarodawcom z 4128 Lbr. Sv. Co. Verdun, serdecznie dziękuję za przesłane 25 dol. W ten sposób dary Komp. Wart. we Francji w 1962 r. na rzecz Ośrodka osiągnęły kwotę 189.85 dolarów.

R. Wilczek (prezes Macierzy).

PRZED SETNĄ ROCZNICĄ
POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Przypadająca w przyszłym roku setna rocznica Powstania Styczniowego (1863-1963) będzie zaznaczona szeregiem publikacji, obchodów i wystaw pamiątek, przygotowywanych przez i żne ośrodki naukowe i społeczno-organizacyjne.

W Londynie powstał Ogólny Komitet Obchodu Setnej Roczniicy Powstania Styczniowego, do którego weszło kilkadziesiąt organizacji i osób, bez względu na istniejące podziały polityczne. Komitet pragnie zespolic poszczególne zamierzenia, a także dopomóc wszystkim ośrodkom polskim Wolnego Świata w urządzeniu obchodu wielkiej rocznicy.

W najbliższym czasie Komitet ogłosi odezwę i bliższe informacje.

„LAJKONIK“

Komitet Obchodu Jubileuszu Zygmunta Nowakowskiego zawiadamia, że na życzenie licznych czytelników i przyjaciół Jubilata, zwłaszcza na odległych terenach zamorskich, postanowił przedłużyć termin przedpłaty na „Lajkonika” na wygnaniu” do 31 stycznia 1963 r. Subskrypcja spotkała się z gorącym odzewem na całym świecie, co pozwala Komitetowi na niezwłoczne rozpoczęcie składania książki, aby mogła ukazać się na Wielkanoc 1963 r.

ZYGUNTA NOWAKOWSKIEGO
LAJKONIK NA WYGNANIU
Felietonów sto i jeden

w objętości przeszło 300 stron ukaże się z fotografią autora w wydaniu bibliofilskim, w płóciennym oprawie, w obwolutie z rysunkiem „Lajkonika” wykonanym przez artystę grafika Feliksa Fabiana. Egzemplarze będą numerowane i będą zawierały listę subskrybentów. Cena £ 2.20 albo \$ 6.50.

Zamówienia na książkę należy kierować do Komitetu, 26-28 Pont Street, London, S.W. 1 (czeki itp. na „Nowakowski Jubilee Committee”), albo za pośrednictwem polskich księgarń.

PRZEGLĄD SPORTOWY

PIŁKA NOŻNA I SIATKÓWKA

W turnieju piłkarskim o Puchar Europy dla mistrzów lig w 1/8 finału Norrköping (Szwecja) — Benfica Lizbona 1:1 (1:1). Spotkanie rewanżowe odbędzie się 22 listopada, Dundee (Szkocja) — Sporting (Lizbona) 4:1 (2:0). Było to spotkanie rewanżowe. Pierwsze spotkanie wygrali Portugalczycy 1:0. Na podstawie lepszego stosunku bramek drużyna szkocka zaawansowała do 1/4 finału, Austria (Wiedeń) — Stade (Francja) 3:2.

W drugim wielkim europejskim turnieju piłkarskim dla drużyn, które zdobyły puchary w swoich krajach Tottenham (Londyn) pokonał w wielkim stylu „dumę Szkocji” Clagrow Rangers 5:2 (4:2). Rewanż odbędzie się 5 grudnia. Wydaje się, że Szkocji tej różnicy bramek nie dołają odrobic.

Wiele huczku było ostatnio w Anglii na temat znakomitego piłkarza John Charles'a, który od kilku lat grał w drużynach włoskich, w tym roku powrócił do Anglii, gdzie grał w drużynie Leeds, po czym znowu zdecydował się na powrót do Włoch. Za 70.000 funtów „kupił” go drużyna Roma, Charles wyleciał w sobotę do Rzymu i w niedzielę już grał w swojej nowej drużynie przeciwko Bologni. Na dworcu witał popularnego piłkarza tłum kibiców wołając: „Charles, pomóż nam zdobyć mistrzostwo ligi”. Nowy kontrakt podpisany został na dwa lata. Charles twierdzi, iż pewnie już nigdy więcej nie zagra w barwach jakiegokolwiek zespołu angielskiego.

Prasa brazylijska uderzyła na alarm, ponieważ w kraju pojawili się przedstawiciele różnych europejskich klubów piłkarskich, którzy za nieprawdopodobnie sumy pragną „wykraść” z Brazylii najlepszych piłkarzy. A wiadomo, że właśnie Brazylija jest kopalnią talentów piłkarskich. Krajem, który najbardziej łakomi się na piłkarzy brazylijskich są Włochy. Właśnie w Włochy zjawili się „kupy” reprezentujący sławny Internazionale Milano, którzy zaofiarowali sławnej „czarnej perle” jak nazywa się popularnie najlepszego piłkarza świata, Pelé, 2 miliardy cruzeiros (25 milionów franków szwajcarskich). Taką sumę otrzymałby klub FC Santos w którym gra Pelé. Nadto samemu Pelé dają Włosi na rękę milion dolarów. Są to więcej niż bajonki sumy. Nic dziwnego, że prasa brazylijska uderzyła na alarm i za nie w świecie nie chce się zgodzić na oddanie innemu krajowi swoich najlepszych piłkarzy. Zwrócono się nawet do policji, by nie dopuszczała do Pelé „kupców zagranicznych”. Jedno z pism brazylijskich napisało: „Zarówno Pelé jak i Garrincha są własnością narodową Brazylii. Byłby czas, aby cudzoziemcy zechcieli to wreszcie zrozumieć”. Mówi się także o wydaleniu z Brazylii „przekupniów” zagranicznych, co jednak mogłoby się spotkać z trudnościami natury „dyplomatycznej”.

Nowy rekord świata w skoku wwyż ustawił znany zawodnik sowiecki, Walentij Brumel, wynikiem 2,27 m. Od roku 1961 Brumel poprawił swój własny rekord cztery razy.

Nowym kandydatem na zorganizowanie zimowych olimpijskich igrzysk narciarskich w 1968 r. jest fińskie miasto Lahti, które już raz urządziło narciarskie mistrzostwa świata w 1958 r.

Igrzyska Sportowe Brytyjskiej Wspólnoty Narodów nie odbędą się w 1966 w Indiach. Powodem jest obecna wojna na pograniczu z Chinami ko-

munistycznymi i dlatego Indie wycofały swoją kandydaturę.

W Brukseli zakończył się kongres Międzynarodowej Federacji Motocyklowej, który przyznał Czechosłowacji prawo urzędzenia Sześciocionki w 1963 r. Polska ubiegała się także o to prawo, lecz nie miała szczęścia, gdyż Czechosłowacja miała lepsze wyniki w konkurencjach międzynarodowych.

Do Polski powróciła po 9-tygodniowym pobycie w Stanach Zjednoczonych znaną gimnastyczką Helena Rakoczy, która przebywała w USA na zaproszenie XIII okręgu sokolstwa polskiego w Detroit. Rakoczy instruiowała młodzież polską w gimnastyce.

W ub. roku doszło w Dukli (Polska) do awantury w czasie meczu piłkarskiego w wyniku której pobito sędziego Tomkiewicza do nieprzytomności. Przed sądem w Brzozowie stanęli niedawno główni winowajcy awantury Jan i Kazimierz Przybytkowscy i Seweryn Lorenc z których każdy dostał po roku więzienia.

W Moskwie zakończyły się Mistrzostwa świata w siatkówce drużyn męskich i żeńskich. Tytuł mistrzowski zdobyła drużyna ZSRR, wicemistrzowski Czechosłowacja, trzecie miejsce zajęli Rumuni. Polacy zajęli szóste miejsce na 19 państw biorących udział w turnieju. Doskonale spisała się żeńska reprezentacja Polski, zajmując trzecie miejsce za Japonkami, które odniosły wielki sukces, zdobywając tytuł mistrzowski, i za zawodniczkami sowieckimi. W konkurencjach kobiecych brało udział 8 państw. Turniej trwał 3 tygodnie i rozgrywany był w Moskwie i Kijowie. Jak pisze warszawski „Przebieg Sportowy” Japonki były bezkonkurencyjne.

„Pojedynek siatkarów stał pod znakiem triumfalnego pochodu Japonki. Było coś urzekającego w ich doskonałej, opanowanej do najdrobniejszych szczegółów grze. Technika i taktyka siatkarów Nipponu jest doprowadzona do perfekcji, ale równocześnie nie ma w ich zagraniach szablonu. Niezwykle szybko wyprowadzają sięcienia, sięcąc zamieszanie w szeregach przeciwnika. W defensywie tylko nieliczne piłki są dla nich nie do przyjęcia. Ich pierwszą, bardzo skuteczną bronią, są zagrywki. Śmiało można powiedzieć, że reprezentantki Japonii o pół klasy przewyższają zespół dotychczasowego mistrza świata ZSRR”.

Międzynarodowa Federacja Piłkarska zwróciła się do swoich członków zapytaniem, czy zamierzają brać udział w olimpijskim turnieju piłkarskim w 1964 r. Ostateczny termin zgłoszeń upływa wprawdzie 31 grudnia br., niemniej już teraz zgłosiły się 44 państwa, co jest niespodzianką, albowiem piłka nożna na olimpiadzie nie cieszyła się wielką popularnością, gdyż państwa z Europy wschodniej — wbrew przepisom — wystawiały w gruncie rzeczy drużyny składające się ukrytych zawodowców (przed wszystkim Rosja Sow.). Udział zgłosiły: Albania, Argentyna, Brazylia, Bułgaria, Cejlon, Chile, Dania, Niemcy wschodnie i zachodnie, Francja, Grecja, Holandia, Japonia, Indie, Indonezja, Iran, Islandia, Izrael, Włochy, Jugosławia, Kenia, Kolumbia, Liban, Liberia, Luksemburg, Mala'ja, Mali, Holenderskie Antyle, Nigeria, Panama, Polska, Rumunia, Szwecja, Szwajcaria, Senegal, Rosja Sow., Południowa Korea, Togo, Czechosłowacja, Tunezja, Turcja, Węgry, Egipt i Wietnam.

Nowojorska bokserska komisja sportowa postanowiła przeprowadzić publiczne dochodzenia „przeciwko obecnemu mistrzowi świata wszechwag, Sonny Listonowi. Podobno ma się zjawić 4 świadków, którzy mają stwierdzić, iż Liston utrzymuje kontakty z kołami gangsterskimi. Dopiero w wyniku tych dochodzeń Liston miałby ewentualnie być uznany oficjalnie jako mistrz świata. Do tych dochodzeń nie warto jednak przywiązywać zbyt wielkiej wagi, bo i w tych komisjach istnieją także niesamowite stosunki.

Mistrz wimbledoński i niewątpliwie najlepszy obecnie tenisista świata, Australijczyk Rod Laver, powróciwszy ze Stanów Zjednoczonych do Australii, oświadczył, że właściciel „stajni” zawodowych tenisistów, Jack Kramer, zaproponował mu przejście na zawodowość za kwotę 30.000 funtów. Laver zdecydował się na odpowiedź pod koniec grudnia po zakończeniu pierwszej rundy o Puchar Davisa. (p.h.)

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE do POLSKI

Tel. FRE 3175
TAZAB
22, Roland Gdns.
London S.W.7

LEKARSTWA! **LEKARSTWA!**

We Francji **ELKA S.A.R.L.** 20 rue Legendre Paris 17

W NOWYM YORKU: TAZAB, 36 Third Avenue N.Y.3. N.Y.

— To nawet bardzo pożądane, bo gdzieżby się podzielała zdrowa demokratyczna wymiana poglądów?
Wróciwszy do swego pokoju, Marek patrzył przez chwilę w zamyśleniu na ciemne zarysy domów naprzeciwko, których ociemniałe okna oddychały ciszą i snem. Snem spokojnych, zwykłych ludzi, których marzeń nie zaprzętały troski o losy świata, ale których pewnej nocy mógł wyrwać z uspienia olbrzymi błysk, rozdzierający na poprzek całe niebo, po którym rozpostarłaby się nad nimi inna, wieczna noc.

X.

W połowie czerwca Rosja wykonała nową serię wybuchów jądrowych, po której nagle zaczęły się szerzyć po świecie wieści, że uczeni sowieccy dokonali kolosalnego kroku naprzód w tej dziedzinie i wyprzedzili swych rywali w sposób, zakłócający zupełnie dotychczasową równowagę sił. Rzecznicy rządów zachodnich zaprzeczali tym pogłoskom, ale uchwalenie dodatkowych kredytów na cele badań i eksperymentów jądrowych przez Kongres amerykański świadczyło o zaniepokojeniu czynników oficjalnych. Kurtyna obojętności, którą ludzie starali się oddzielić od potwornej możliwości największego kataklizmu w dziejach ludzkości nagle podniosła się, ukazując przerażonym oczom szarego człowieka kruchość pokoju, opartego wyłącznie na równowadze sił. Bomba jądrowa, rzadko i niechętnie wspominana w prywatnych rozmowach, nagle stała się przedmiotem codziennych rozmów i zapalczawych dyskusji.

Ludzie przywykli przez długie lata „zimnej wojny“ do nieustannej huśtawki międzynarodowych stosunków — od konferencji rozbrojeniowych do wymiany not, grozących prawdziwą wojną, i z powrotem. Alarmujące tytuły gazet, ostrzegające przy lada okazji o „niezwykle groźnej sytuacji“, nie robiły już na nikim wrażenia. Po Kubie, Berlinie, Persji — kłóży się nimi chciał przejmować? Ale nagle w połowie czerwca nastąpiło wydarzenie, które jaskrawo uprzytomniło niechętną ludzkości, jak kruchość jest dyplomatyczna zasłona, oddzielająca ją od możliwości apokaliptycznej zagłady.

Podczas serii atomowych ćwiczeń przeprowadzanych równocześnie, chociaż, naturalnie, w innych rejonach, na Oceanie Spokojnym przez Stany Zjednoczone i Rosję na wyspie Sawali w grupie Samoa nastąpiła potworna eksplozja, która zniszczyła całkowicie życie ludzkie, zwierzęce i roślinne na wyspie, a przy tym poczyniła spustoszenia na innych wyspach archipelagu. Stany Zjednoczone i Rosja wystąpiły z gwałtownymi oskarżeniami pod adresem przeciwnika, zarzucając mu odpowiedzialność za wybuch, a równocześnie zaprzeczyły, jakoby przyczyną katastrofy była rakietą o atomowej głowicy, która wymknęła się spod kontroli w czasie ćwiczeń. Wymianie oskarżycielskich not towarzyszyło postawienie w stan pogotowia aparatu wojennego obu mocarstw i ich sprzymierzeńców. Wiadomości o rozmiarach zniszczenia, poparte licznymi a przerażającymi zdjęciami z miejsca eksplozji, wstrząsnęły ludzkością świata. To już nie była daleka i świadomie odsuwana od siebie możliwość atomowej katastrofy w razie wojny; to było autentyczne — przypadkowe lub świadome — zniszczenie, które w każdej chwili mogło spotkać każde miasto, każdą wieś, każdy dom! Podniecenie ludzkości szybko doszło do rozmiarów hysterii.

W kilku południowych krajach europejskich doszło do poważnych starć między demonstrantami, żądającymi natychmiastowego rozbrojenia atomowego, a policją. W Stanach Zjednoczonych powstała nowa sekta religijna, zwana „Wyznawcami Sądu Ostatecznego“, głosząca koniec świata w roku 1975, która szybko zaczęła liczyć setki tysięcy wyznawców. Nawet w spokojnej i flegmatycznej Wielkiej Brytanii ludność poświęcała mniej uwagi krykietowi i wysiłkom konnym, biorąc nieoczekiwanie żywy udział w życiu politycznym i obrządkach religijnych. Związek Rozbrojenia Jądrowego zyskał tysiące członków i organizował olbrzymie demonstracje, wobec których policja była zupełnie bezsilna.

Stefan Wóycicki

Ziemia przeznaczona

Powieść

O rakeji ludności za żelazną kurtyną wiedziano na Zachodzie niewiele. Od czasu zerwania z „koegzystencją“ w Rosji i krajach satelickich kontakty prywatne między obu obozami stały się rzadkie, a po ostatnich wybuchach właściwie urwały się zupełnie. Z gazet sowieckich i z audycji radiowych, przeznaczonych na użytek wewnętrzny wynikało wyraźnie, że ludność tych państw trzymana była w stanie hysterii potopem propagandy o złowieszczych zamiarach „zachodnich imperialistów“, jedyną osłoną przed którymi stanowiły nowe i najpotężniejsze na świecie czerwone bronie jądrowe.

Niektóre z brytyjskich pism twierdziły, że Rosja jest obecnie w posiadaniu bomb, które mogą dosłownie całą Wielką Brytanię obrócić w radioaktywne gruzy w przeciągu kilku pierwszych minut niewypowiedzianej wojny. Naturalnie, rządy państw zachodnich uznały za konieczne wprowadzenie cenzury wszelkich wiadomości o zbrojeniach atomowych, ale przerażające wieści o postępach w tym kierunku ciągle docierały do świadomości zachodnich społeczeństw, czy to w drodze czerwonej propagandy radiowej, czy też przemycane przez własną prasę.

Pod koniec lipca nawet najbardziej optymistycznie nastawieni mężowie stanu musieli przyznać, że sytuacja stała się groźna. Jedno nieostrożne posunięcie dyplomatyczne, a świat nie stanie w ogniu, jak to zwykli patetycznie mawiać pisarze z pierwszej połowy dwudziestego wieku, a po prostu obróci się w niezamieszkałą pustynię. Zamożniejsi ludzie zaczęli ubiegać się o wize drobnych, egzotycznych państw środkowo- i południowo-amerykańskich; przed konsulatami krajów o egzotycznych, zaledwie spamiętanych z atlasów geograficznych nazwach stały długie ogonki interesantów. Agenci, handlujący nieruchomościami, zaczęli nagle robić znakomite interesy na zupełnie dotychczas beznadziejnych obiektach, położonych na dalekich bezludziach dokąd w optymistycznych obliczeniach mogły nie dotrzeć skutki wybuchów bomb, eksplodujących nad wielkimi miastami.

Nastrój ludności odbił się wyraźnie i niekorzystnie na życie gospodarczym. Któżby bowiem chciał pracować i oszczędzać, kiedy nad głową wisiało mu widmo rozgrzanej do białości śmierci? Marek czuł, że i jemu zaczyna się udzielać ten posmak zniechęcenia, machania ręką na wszystko, zaturawający każdą rozgrywkę, każdą chwilę życia. Starał się z tym walczyć, tłumaczył sobie, że przecież żaden z przeciwników może nie zechcieć użyć potwornej broni w obawie przed odwetem. (Jakże to było z gazami trującymi w poprzedniej wojnie), ale to jakoś wcale nie pomagało.

Podziwiał niezamącony spokój swego bezpośredniego zwierzchnika w firmie, który chętnie dyskutował na temat bomby, ale nie zdradzał z tego powodu wielkiego niepokoj.

— Zobaczysz, Stop — mówił, wznosząc znacząco palec do góry — z tej wielkiej chmury będzie mały deszcz. Ludzie wszędzie są tacy sami: chcą mieć rodzinę, dom i zbudować jakąś przyszłość dla swoich dzieci. Dogadają się.

— No, dobrze — odpowiedział Marek, pijąc drugą szklankę herbaty. — A co będzie, jeżeli się nie dogadają?

Mr. Armstrong pogardliwie wrzucił ramionami:

— W takim razie zasłużą na to, co ich spotka.

Marek nie mógł powstrzymać się od logicznej kontynuacji myśli swego szefa:

— Pan też wtedy przestanie istnieć, Mr. Armsrong.

Na to padła odpowiedź, rozbrajająca swoją beztróską:

— Wielkie rzeczy! Nie ja jeden. Ale co przedtem Rosjan napsujemy to napsujemy. Zobaczymy, czy im się uda.

14)

Marysia, ta normalna, zrównoważona Marysia, której zdrowa i bezwzględna dla innych umiejętność życia tak czarowała i pociągała Marka, była zupełnie wytracona z równowagi wiadomościami, które rozpełzały się po Londynie podczas upalnego lata. Marysia kochała życie i możliwość śmierci atomowej wydawała się jej rzeczą, przekraczającą granice ludzkiego pojęcia. Bała się jej, jak zagone zwierzę i szukała w Marku pomocy i oparcia, których on nie był w stanie jej udzielić. Szukała w nim niezachwianej pewności, że wszystko musi się dobrze skończyć, a nie znajdując jej, wpadała w gniew, łzy i histerię, kończącą się okresami depresji.

Marek czuł się oszukany i rozczarowany: ta wesola, beztraska Marysia, w której czuł się prawie zakochany, zniknęła nagle i bez śladu. Często wspominał Kasię, ale nie starał się jej odnaleźć. Czuł się wobec niej winny, a zarazem brakowało mu jej kobiecego, ciepłego zrozumienia i ufności. Przyciągany, to znów, odpychany przez Marysię, nieraz odczuwał prawie żal, że po pamiętnej rozmowie na Serpentyńce nie wyskoczył z łódki za Kasią. Ale teraz było już właściwie wszystko jedno.

Jedyne oparcie znajdował w Starzeskim. Ten był zachwycony: nareszcie ludzie zaczęli zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji; To, o czym on był przeświadczony od lat, stało się nagle publiczną własnością; ludzkość stanęła naga wobec straszliwej grozy zniszczenia. Starzeski przyjmował Marka entuzjastycznie, sadzał go na gościnnym krześle pod Napoleonem, naprzeciw fotografii atomowej eksplozji, częstował herbatą (z rumem) i gadał, gadał, gadał. Marek słuchał z zainteresowaniem, odnajdując w niektórych wypowiedziach gospodarza sprecyzowanie własnych, nieuświadomionych sobie jeszcze poglądów.

Do zagadnienia atomowej groźby zniszczenia ludzkości Starzeski podchodził w sposób swoisty.

— Kochany panie Marku! — mówił, z ożywieniem gestykulując swoją jedyną ręką. — Człowiek ryzykuje codziennie przejechanie przez samochód, czy nawet spadnie mu na głowę gzymsu z budynku, pod którym przechodzi, dlaczego więc indywidualne ryzyko atomowego zgonu ma nas specjalnie przerażać?

Marek chciał przerwać, ale bezskutecznie — Starzeski uciszył go rozkazującym gestem.

— Wiem, wiem, naturalnie: wychodząc na ulicę jesteśmy przeświadczeni — bez żadnego logicznego uzasadnienia — że nas właśnie nie spotka żadne nieszczęście, bo ryzyko rozłożone jest na tak wiele milionów ludzi; tymczasem w razie spuszczenia nam na łeb bomby kobaltowej nikt nie będzie miał szansy wymknienia się. To nie zmienia faktu, że możliwość nagłej śmierci wisi nad każdym z nas w każdej sekundzie naszego życia od chwili urodzenia — tyle tylko, że się nad tym nie zastanawiamy. Wobec tego w obliczu groźby atomowej mamy tylko dwa wyjścia: albo machnąć na wszystko ręką, bo i tak wszystko diabli wezmą prędzej czy później, albo też żyć tak samo, jak poprzednio.

Marek nie wytrzymał:

— Sam pan mówił, że obowiązkiem każdego myślącego człowieka jest zajęcie stanowiska wobec tej groźby, która musi gruntownie zmienić nasze życie. A teraz pan mówi, żeby żyć tak, jak przedtem?

Starzeski oskarżająco wyciągnął ku niemu kościsty palec:

— Pan miesza dwie różne rzeczy, panie Marku. Pierwsza — to nasz stosunek do życia, który w obliczu atomowego niebezpieczeństwa musi ulec zmianie i przystosowaniu się do nowych warunków; druga — to stosunek do śmierci, który zmieniać się nie ma powodu. Śmierć od pożaru, od cegły, spadającej na głowę, czy też w wypadku samochodowym nie różni się w czy istocie od śmierci od bomby wodorowej.

Marek nie dawał za wygraną:

— Z punktu widzenia jednostki może ma pan rację, ale z punktu widzenia ludzkości...

(Ciąg dalszy nastąpi)

OFIARY NA MIESIĄC INWALIDY

Dalsza lista imienna osób i instytucji, które nadesłały pomoc pieniężną na polskich inwalidów wojennych we Francji a to:

Gen. W. Piekarski 10 NF, Komp. Wartow. 6954 105 NF, J. Dąbrowski 10 NF, inż. M. Serafiński 10 NF, Marguigny Jeanne 10 NF, Komp. Wartow. 4128 240 NF, D. z Harnes (P de C) 20 NF, SPK, Kolo Aestmanland w Szwecji 260 koron szw. (244,53 NF), K. Kulawik — Bethune 100 F. W.A. Zelenicy 20 NF, Komp. Wartow. 4011 230 NF, W. Kubiak 10 NF, Płk Z. Hofbauer 30 NF, Komp. Wartow. 4507 300 NF, S. Gibowski 50 NF, J. Półtorak 30 NF, prof. J. Majeherczyk 10 NF, mjr Baranowski 10 NF, Wydawnictwo „Narodowiec“ Lens 50 NF, hrabina Ledochowska 20 NF, Skarb Narodowy we Francji 250 NF, inż. St. St. Łopiński 10 NF, T. J. 50 NF, B. Kulakowski 10 NF, Komp. Wartow. 4500 50 NF, Jan Zagula 15 NF.

Wszystkim ofiarodawcom z całego serca serdeczne „Bóg Zapłać“ w imieniu tych kolegów inwalidów, którzy z pomocy tej skorzystają.

ZARZĄD PZIW we Francji
15, rue Sz. Gillesm Paris 3

Nakładem Koła Lwowian

ukazała się książka

St. Mękarskiego L W Ó W

Jest to historia Lwowa od 1340 do 1939 r. przedstawiona z naukową ścisłością, w sposób przystępny i ciekawy. Książka ta stanie się dla każdego Polaka źródłem wiedzy historycznej o Lwowie, o jego kulturze i wkładzie cywilizacyjnym do dziejów całej Rzeczypospolitej w ciągu 600 lat państwowej i kulturalnej przynależności do Polski.

Powinna się znaleźć w każdym polskim domu!

Wydana bardzo starannie, obejmuje 112 stron druku oraz 15 całostronowych ilustracji.

Cena sh. 15/- — przesyłka 1/-

Do nabycia w składzie głównym: —

KSIĘGARNIA POLSKA

ALMA BOOK Co. Ltd.

9, Lenthal Place, Gloucester Road, London, S.W. 7. (Tel. FRE 9062) oraz wszystkich księgarniach polskich.

ŚWIĘTA ZA PASEM!

Sprawdź u swego dostawcy czy ma na składzie

ORYGINALNE POLSKIE WÓDKI

WÓDKA WYBOROWA 97 Pr. (Blue Label) ½ ltr. — 47/-, ¼ ltr. — 31/3
½ but. — 24/-, ¼ but (Flask) — 12/9, Setka — 7/3, Min — 4/-

Wódka Wyborowa, 66 Pr. (Red Label) ½ ltr. — 38/9

½ but. — 20/3; ¼ but. (Flask) — 10/6

Wódka Luksusowa, 79 Pr. ½ ltr. — 32/6

Wiśniówka, 70 Pr. ½ ltr. — 30/3; ¼ but. — 23/3

Setka — 7/-; Min. — 3/9

Jarzębiak, 70 Pr. ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9

Zubrówka, 70 Pr. ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9

Śliwówka, 69 Pr. ½ ltr. — 42/-; ¼ but. — 21/6

Krupnik, 70 Pr. ½ ltr. — 32/-; Min. — 4/3

Starka, 87 Pr. — ½ ltr. — 39/-; Min. — 4/3

Winiak, 70 Pr. — ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9

Pure Spirit, 100 Pr. — ½ but. — 30/6

Pure Spirit, 140 Pr. — ½ but. — 40/-; Min. — 6/6

Goldwasser, 70 Pr. — ½ ltr. — 30/6; Min. — 3/9

Cacao Choix & Cherry Liqueur, 50 Pr. — ½ but. — 19/-

MIÓD WAWEL: Gąsiorok — 24/6; podwójny — 48/6

Min. — 3/9

Cassis, 61 Pr. — ½ ltr. — 27/6; Min. — 3/9

WINA OWOCOWE: RYCERSKIE (wiśniowe), BESKID (jeżynowe),

ZBÓJNICKIE (agrestowe), JANCZAR (porzeczkowe) — butelka 9/9

PIWO: TATRA-ZYWIEC, OKOCIMSKIE i PORTER

Do nabycia po powyższych cenach w każdym dobrym sklepie win

Wył. Importer:

EDOUARD ROBINSON LTD.

21, Old Compton Street, London, W. 1.

Tel.: GERrard 3367

Kryzys Kubański utrwala się — próby appeasement'u

(Dokończenie ze str. 1)

brych, pokojowych chęci i doradza- ją ustępować mu, aby nie obalili go zli opozycjoniści. „Staliński i dogmatyści“ z chińskim Mao-Tse- tungiem na czele. Głowa obozu appeasementu wobec Sowietów w prasie światowej Walter Lippmann sformułował znowu te idee w arty- kule na łamach „New York Herald Tribune“ z 13 bm. Stwierdził tam mianowicie, że obecną linią Chruszczowa będzie najprawdopodobniej wyzyskanie następstw kryzysu ku- bańskiego do „poważnych prób wy- pracowania czasowego porozumie- nia z Zachodem“.

„Moja nadzieja — pisze Lippmann dalej — że to się może stać, opiera się na dwu głównych czynnikach roz- woju światowej równowagi sił. Jed- nym jest niewątpliwa przewaga nuklearna Stanów Zjednoczonych. I drugim, niewątpliwy, głęboki kon- flikt między Rosją a Chinami. Skom- binowany skutek obu czynników skłoni Moskwę do unikania równo- czesnego konfliktu zarazem z Azją i Zachodem“.

Za Lippmannem w ten sam ton, torujący drogę dogadywaniu się z Sowietami, uderzyła cała orkiestra sowietologów. E. Crankshaw w lon- dyskim „Observer“ z 11 bm. swój artykuł pod wymownym tytu- łem „Chruszczow przyjmuje wyzwa- nie Pekinu“ kończy — powtarzającym od lat co kilka miesięcy stwierdze- niem, że między Moskwą a Pekinem „zerwanie nie może być dłużej odkładane“. W służącym zawsze pro- sowieckiej linii dzienniku londyń- skim Beaverbrook'a „Daily Ex- press“, ukazała się 12 bm. korespon- dencja innego komentatora, zawsze po tej linii piszącego. Wzdychając do dnia, kiedy „rosyjsko-amerykań- ska przyjaźń zacznie kwitnąć“ MacColl konkluduje: *Wydaje się pewne w Waszyngtonie, że głównym celem Chruszczowa musi być teraz utrzymanie w ryzach (con- tain) ekspansji chińskiej z jej za- grożeniem Syberii i całej rosyjskiej pozycji w Azji, a ewentualnie w Europie“.*

Miejmy nadzieję, że propaganda tego rodzaju, mająca na celu skła- nianie Zachodu do ustępstw oraz kompromisów z Chruszczowem w imię jego zagrożenia przez Chiny, nie trafi do kół rządzących. Mają one przecież świeży przykład Indii, które — pod rządami Nehru i Krysz- na Menona zaniebadały zbrojeń, ponieważ liczyły na konflikt sowiecko- chiński. W rezultacie, po ostatniej agresji chińskiej spotkały się z od- mową wszelkiej pomocy Moskwy, która natomiast udzieliła poparcia Pekinowi. Część prasy stara się prze- słonić tę prawdę przy pomocy roz- maitych fałszywych informacji oraz sugestii, ale nie może to zmienić u- stalonej rzeczywistości.

NOWE KOMPROMITACJE NEUTRALIZMU — W I OSIE I KONGU

Po myśli traktatu genewskiego w sprawie neutralizacji Laosu, pod gwarancjami Stanów Zjednoczonych,

Rosji Sowieckiej i Chińskiej Repub- liki Ludowej, wszystkie obce wojska miały opuścić ten kraj poprzez gran- niczne punkty kontrolne do 7 paź- dziernika. Amerykańskie oddziały dopełniły dawno zobowiązania swe- go rządu i podobnie technicy z Fil- lipin, ale daremnie oczekiwali, powo- łany na zasadzie układu genewskie- go, koalicyjny rząd ks. Suwanna Fu- ma, aby wynieśli się z terytorium Laosu komuniści. Okazało się ostat- nio, że na 10 tysięcy czerwonych żołnierzy, głównie z ptn. Wietnamu i Chin opuściło granice Laosu... pięćdziesięciu.

Ponieważ taki rezultat hucznie re-klamowanej w całym świecie „neu- tralizacji“ jest nową, jeszcze jedną kompromitacją tego programu w Laosie, koalicyjny gabinet neutra- listycznego księcia znalazł się w nie- bezpieczeństwie i grozi zawaleniem się. Jeśli to nastąpi, Laos znajdzie się znowu w podobnej sytuacji, z jakiej miała go kilkomiesięczna kon- ferencja genewska przy pomocy — fatalnie wypróbowanego zabiegu neutralizacyjnego — wyprowadzić.

Należy się nadto obawiać, że ko- nuniści, którym się zapewne nigdy w ogóle nie śniło umowy genew- skiej dotrzymać, wyzyskali ostat- nie miesiące — podczas których A- merykanie wyewakuowali się, a naro- dowe wojska Laosu były unierucho- mione — do znacznego umocnienia się w terenie. Walki na pograniczu indyjsko-chińskim muszą dodatkowo podkopywać skłonności do kompro- misów i wiary w ich realność z ko- munistycznymi przeciwnikami, tak- że w p.d. wschodniej Azji.

Podobnie smutny los spotyka w dalszym ciągu próby utrzymania, narzuconego przez ONZ neutralis- tycznego rządu centralnego w Kon- gu. Rządu tego nie chce uznać prze- de wszystkim, najlepiej zorganizowa- na i zdecydowanie prozachodnia Ka- tanga pod stosunkowo najsprawniejszą władzą prez. Czombe. Długą his- torię morderstw, wzajemnych areszt- owania oraz domowych wojenek mię- dzy prowincjami, tego ogromnego kraju, ukoronowanych wreszcie atakiem oddziałów — powołanej do strzeżenia pokoju — Org. Narodów Zjednoczonych na stolicę Katangi, Elizabethville, uzupełniło ostatnio nowe zbrojne zamieszanie w ptn. Ka- tandze między stacjonującymi tam wojskami rządu centralnego a si- łami katangijskimi. Rząd central- ny twierdzi, że samoloty Katangi zbombardowały pozycje jego wojsk, czemu Czombe stanowczo zaprzecza.

Jakkolwiek jest naprawdę, nowy konflikt oznacza, że negocjowany pod patronatem ONZ od 2 i pół lat układ o autonomii Katangi stanął znowu pod znakiem pytania, a poli- tykę nowojorskiej instytucji w cha- rakterze zwierzchniej władzy pań- stwowej spotkało jeszcze jedno nie- powodzenie. Trudno się temu dzi- wić, ponieważ ani ONZ nie została do takich zadań powołana, ani re- prezentujący ją w Kongo Ameryka- nie czy Azjaci nie mają żadnych kwalifikacji do narzucania swoich koncepcji ludom Afryki, nawet choć-

by pałali najgorętszą chęcią ich u- szczęśliwienia.

Pojawiły się ostatnio przykre dla ONZ rewelacje jej zeszluzowanego przedstawiciela w Katandze, dr. O' Briena. Stwierdził on mianowicie w książce tymi dniami opublikowanej, że ówczesny w Londynie Sekretarz Generalny ONZ Hammarskjöld na jesieni 1961 r. fałszywie przedstawił sytuację w Katandze, aby uzasadnić wojskową agresję stolicy tego kraju przez oddziały ONZ. Rewelacje te- go rodzaju nie wzmocniają autory- tetu światowej organizacji „poko- jowej“.

W JEMENIE I O JEMEN — WALKA SIĘ ZAOSTRZA

Półwysp Arabski jest zbyt bo- gaty w ropę naftową, aby mógł tam panować zbyt długo spokój. Blisko dwa miesiące minęło od ostatniego na tym obszarze zamachu stanu, mianowicie w Jemenie, ale sytuacja nie jest wciąż jeszcze wyjaśniona. Między oddziałami rewolucyjnego rządu bryg. Sallana, wspieranego przez egipski rząd Nassera, a wier- nymi obalonemu władcy Imanowi Al- Badr szepczami toczą się walki, egipskie samoloty — sowieckiego pochodzenia — rzucają na ludność bomby zapalające. Z powodu tego Arabia Saudyjska zerwała stosunki dyplomatyczne z Egiptem, który

znów podpisał pakt wzajemnej po- mocy z jemeńskim reżimem rewo- lucyjnym bryg. Sallana.

Tymczasem „zmarłychwstał“ Iman Al-Badr. Światowe agencje in- formacyjne podały dwukrotnie „pew- na“ wiadomość o jego śmierci, aż w końcu „nieboszczyk“ odbył 11 listo- pada w ptn. wschodniej części swe- go królestwa jemeńskiego — konfe- rencję prasową z ośmiu korespon- dentami pism brytyjskich, amery-kańskich i jordańskich.

Z drugiej strony rewolucyjny re- żim bryg. Sallana także nie próżnu- je i szuka oparcia — nie tylko w Egipcie. Mahomet Kaed Seif, mi- nister informacji — drogą na Kair — poleciał z Jemenu do Moskwy i wyładował tam 9 bm., aby szukać broni i pomocy gospodarczej oraz technicznej w Sowietach. Rezultat tych zabiegów nie jest jeszcze wiadomy, ale trudno wątpić, by Kreml zaniebował okazji dolania oliwy do ognia, godzącego w interesy mo- carstw zachodnich, zwłaszcza na ob- szarze Środkowego Wschodu. Obszar ten, zarówno ze względu na zapasy ropy naftowej, jak też bezpośrednio sąsiedztwo z Afryką jest od dawna przedmiotem wytrwałych zabiegów oraz organizowanej dywersji ze stro- ny Rosji Sowieckiej.

Z.S.

5-LATKA KOMEKONU

„Izvestia“ ogłosiły komunikat o ze- braniu komitetu wykonawczego Kome- konu, na którym osiągnięto rzekomo po- rozumienie w następujących sprawach do przeprowadzenia w ciągu najbliż- szych pięciu lat: 1) koordynacja naj- ważniejszych inwestycji; 2) zacieśnio- ne współdziałanie w zakresie waluto- wym; 3) współpraca w zakresie inwestej- rolniczych, poprawy mechanizacji rol- nietwa i wymiany nasion; 4) specjali- zacja poszczególnych krajów w pro- dukcji maszyn określonych typów; 5) współpraca dla poprawy transportu; 6) apel do wszystkich działów Komeko- nu o wzmoczenie aktywności i sprawno- ci.

ZAROBKI W POLSCE

Warszawski „Biuletyn Statystycz- ny“ (nr. 9) podaje, że ponad 8,130,000 osób pracowało w Polsce pod koniec lipca br. Liczba ta obejmuje zatrudnio- nych w gospodarce narodowej „sektora uspołecznionego“. W ciągu siedmiu miesięcy br. nastąpił wzrost zatrudnie- nia o około 422,000 osób. Spośród wszystkich gałęzi przemysłu najwię- szy wzrost zatrudnienia nastąpił w przemyśle elektrotechnicznym.

Cytowany „Biuletyn“ informuje, że przeciętna płaca miesięczna brutto w roku ubiegłym w lipcu wynosiła 1,661 złotych, a w lipcu br. nastąpił jej wzrost do 1,755 złotych. Fundusz pla- zwiózł się w tym czasie o 6,6 proc. zatrudnienie zaś o 4,6 proc., a przecięt- na na płacę miesięczną brutto zwiózł się w przemyśle o 1,8 proc. Tak więc wzrost przeciętnej płacy nominalnej brutto był przeszło trzy i półkrotnie niższy od wzrostu funduszu plac w przemyśle, w którym zarobki robotni- cze są najwyższe.

Sobór powszechny w Rzymie

Sobór Powszechny wszedł już w okres właściwych obrad. Tylko na pierwszym kolejnym zebraniu Ojców Soborowych, tj. na Kongregacji Gene- ralnej z dn. 22 10. ogłoszono re- zultaty głosowania do pozostałych 3 Komisji, tj. do Komisji Sakramen- tów, spraw zakonnych i studiów i seminariów.

Z tych uzupełniających danych wynika, że do Komisji spraw za- konnych wybrany został ks. bisk. Michał Klepacz z Łodzi. Na następ- nym posiedzeniu Sekretarz Soboru zakomunikował też nazwiska 2 no- wych członków Komisji na miejsce tych, którzy już mieli inne stano- wiska w Soborze i z tej racji nie mogli być ponownie wybrani. We- szli na to miejsce następni kandy- daci z list z największą ilością gło- sów. W ten sposób na miejsce ks. kard. Wyszyńskiego, który jak wie- my należy do Sekretariatu dla spraw nadzwyczajnych i był też wybrany do Komisji apostołstwa laickiego, prasy i widowisk, wszedł ks. arcyb. Morris z Cashel w Irlandii.

Mamy więc ogółem 4 przedstawi- cieli Episkopatu Polskiego, repre- zentowanych w Komisjach Soboro- wych. Ale trzeba tu zauważyć, że z wyjątkiem pierwszej Komisji, li- turgicznej, skompletowanej do 24 osób po wyznaczeniu przez papieża 8 Ojców Soborowych, mianowania do pozostałych 9 Komisji są dopie- ro oczekiwane.

Na ogół głosowanie wykazało — jak podkreśla Biuletyn Biura Pra-

sowego Soboru — iż w 10 Komisjach zasiadać będą przedstawiciele 42 krajów w szczęśliwym doborze Ojców z różnych narodów i fachowej kom- petencji.

W tym trzecim już tygodniu obrad przedłożono pod rozwagę Ojców so- borowych zagadnienia liturgiczne, opracowane uprzednio przez Komisję przygotowawczą i wyłożone w ob- szernym schemacie. Wysunięcie tych zagadnień na czoło jest uzasadnione przed ich wielką wagę. One bowiem najlepiej wykazują cel Soboru, któ- ry, zgodnie z intencjami papieża i z orędziem Ojców Soboru do ludz-kości, ma się stać przede wszystkim wewnętrznym odnowieniem Kościoła.

Dyskusja wstępna poświęcona by- ła omówieniu całości schematu Li- turgii. Nie wszyscy bowiem Ojcowie byli zgodni z jego ujęciem. W orien- tacjach odbijają się różne szkoły, doświadczenia i problemy. Ale we wszystkich wypowiedziach wybija- ła się ta sama troska o podkreśle- nie wewnętrznej wartości Liturgii i o uczynienie jej żywym wyrazem prawdziwego kultu, oddawanego Bo- gu przez Kościół Powszechny.

Celem, który stawiają sobie Ojco- wie Soboru, w dyskusji nad central- nym zagadnieniem Liturgii jest, a- by nieustannie powiększać prawdzi- wą pobożność liturgiczną przede wszystkim u księży, a następnie również u wiernych, tak aby Litur- gia stała się rzeczywiście źródłem łask i środków zbawienia. Nie brak też proponowanych rozwiązań w róż-

nych dziedzinach, jak i prób reform- mniej czy więcej dopuszczalnych.

Dyskutowane założenia wstępne schematu Liturgii, wyłożone we Wprowadzeniu (Proemium), pod- kreślają m. in., że nie chodzi o u- stalenie nowych definicji dog- matycznych, lecz o wydanie pew- nych norm i zasad ogólnych, które będą opracowane przez rzeczoznaw- ców, tak aby uwzględniały one rów- nież konkretne warunki. Opracowa- nia rzeczoznawców muszą oczywiście otrzymać aprobatę Stolicy apo- stołskiej. Wprowadzenie przypomina również konieczność ustawienia we właściwym świetle teandrycznej na- tury Liturgii, to znaczy jej podwój- nego charakteru Boskiego i ludzkie- go. Szczególnie zaś podkreśla się ko- nieczność poszanowania wszystkich istniejących w Kościele Katolickim rytów. Na tym punkcie panuje może szczególne ożywienie i dyskusja na tematy ewentualnego wprowadzenia do obrządków liturgicznych języków i obyczajów lokalnych wybiega poza salę obrad soborowych i toczy się na różnych konferencjach prasowych w odczytach itp.

W ten sposób Ojcowie Soboru prze- szli do rozważania pierwszego roz- działu schematu, który mówi o ogól- nych zasadach Liturgii i jej defi- nicji.

Kilkadziesiąt osób już zabierało głos spośród kardynałów, arcybisku- pów i biskupów. Wśród dyskutant-ów byli też ks. arcyb. Józef Gawli- nas i ks. arcyb. Lusaki w Rodezji ptn. Adam Kozłowiecki.

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sh. 1/3 — w Francji NF. 0.75 — w Austrii 1.60 Sch. — w Belgii 7 br. b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre — w Włoszech 60 lir. — w Australii A 1sh 9d. — w Argentynie \$0.20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 cent.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy, płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W. BRYTANII: „Gryf“ Publica- tions Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; miesięcznie 6/-, kwartalnie 16/6, rocznie £3.0.0. Zmiana adresu 1s. — W BELGII: mie- sięcznie frb. 25; kwartalnie frb. 75; Mrs. J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph H. Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J. Korab-Brzozowska-Csaky, nr. 1315-20, podając swój dokładny adres. — FRANCJA: N.F.: kwart. 8.00, półr. 15.00 rocznie 28.00. Admin. „Syreny“, 20, rue Legendre, Paris 17. Konto poczt.: Edit. ELKA-Paris 5507-30; „Li- bella“ Librairie, 12 rue St. Louis-en-l'Île, Paris IV; nr. konta poczt. Paris cc 565150. Francja Północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107 rue Royale, Lille (Nord) tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski, Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône). — W HOLANDII: mies. fl. 2.00, kwart. 5.50, wpłacać przek. poczt.: Fr. Ma- tiecki, Tulpenlaan 17, Lindenheuvel, Geleen (L.) — W NIEMCZECH: St. Mikiciuk, (13b) München, 45, Gablonzerstrasse 7/I. — W NORWEGII: koron: mies. 4, kwart. 10, rocznie 36; Narvesens, Kiosk Kompanii, Post-

box 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart. 35 esc., rocz. 120; A. Zieliński, Lisboa, Central Caixa, Post. Nr. 110. — W SZWAJCARII: fr. szw. mies. 2.00, kwart. 5.50; Maria Wasung, 6 rue des Lilas, Genève i Janusz Rakowski, Mainaustr. 28, Zurich. — W SZWECJI: koron: mies. 3.60, kwart. 10.00, rocz. 36.00, Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm. — WE WŁOSZACH: lirów: kwart. 700; W. Zahorski, Associazione Combatt Polacchi, Via Licia 19-9, Roma; należność wpłacać przekazem poczt. — W ARGENTYNIE: prenumerata roczna \$8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polac“, Serrano 2076, Buenos Aires. — W BRA- ZYLII: półrocznie \$4.00, rocznie \$8.00. — W AUSTRALII: „Vistula“ (Au- stralia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place Sydney; „Spolem“, 64, Tapleys Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; R. Gronowski, 23, Clifton Str., Richmond, E.1, Vic. kwart. £1.0.0A, rocznie £3.15.0A. — W KANA- DZIE: rocznie \$8.00; „Gryf“, London. — W PŁD. AFRYCE: kwart. 16/6, rocznie 60/-; prenumerata przyjmuje bezpośrednio „Gryf“ Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: prenumerata kwartalna: \$2.10, półroczna: \$4.00. Przedstawicielstwa: „Gryf Publications“, W. Biełkow-

ski, 738 Hampton A. Schenectady, N.Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukow- ski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. USA; Polska Składnica Taniej Książki „Polinvalco“, 2109 Robinwood Avenue, Toledo 2, Ohio.

CENA OGŁOSZEN: za jeden cal przez jeden lam £1.5.0 wzgl. 1 cm. przez jeden lam NF. 7.50. Przyjmuje: GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; Adm. „Syreny“, 20 rue Legendre, Paris 17, tel. WAGram 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq., London, W.C.2; lub Odra Press Ltd., 20, Queens Gate Ter., S.W.7. Tel. KNI 6855.

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji i Administracji: „Gryf“, 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11. Tel. BATTERSEA 1445. We Francji: „Syrena“, 20 rue Legendre, Paris 17, Tel. WAGram 0045. Konto pocztowe: ELKA cc. Paris 5507-30

Ze piórem

Dodatek do numeru 46/1062 (794) z 15 listopada 1962

MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

NOTATNIK PODRÓŻNY

Stoke-on-Trent

Bynajmniej nie jesteśmy w najpiękniejszym z miast Anglii. Mówiąc prawdę należy ono do brzydszych i bardziej banalnych. Cały ośrodek produkcji ceramicznej — Hanley, Longton, Newcastle-under-Lyme, Stoke-on-Trent, — jest nużąco przyziemny i pozbawiony polotu. Ohyda wielkiego przemysłu ma w sobie coś fascynującego, groźnego, ale kraina pieców garncarskich, jeżeli przeraża, to tylko nudą.

Trudno też uwierzyć że to tu właśnie, w Longton Hall, przed dwustu przeszło laty ciężkie z pozoru, i brudne łapy garncarzy wyczarowały z miękkiej porcelanowej glinki, mieszanej z popiołem ze spalonych kości, wytworne i kruche piękno.

Może jednak bardziej od przelotnej, porcelanowej świetności Longton Hall na czułą uwagę zasługuje wielowiekowa produkcja garncarska Staffordshire. Szczególnie brunatno-kremowe misy zdobione z wigołem grubą, zdecydowaną kreską i plamą zachwycają naiwnym nieco humorem i niezawodnym poczuciem rytmu, kompozycją, świeżością widzenia świata.

Muzeum miejskie Stoke, poza niewielką, lecz ze smakiem i znawstwem dobraną kolekcją ceramiki chińskiej oraz wczesnej perskiej zgromadziło imponujący zbiór ilustrujący lokalną produkcję, jej historię, rozwój techniczny i — przede wszystkim — osiągnięcia artystyczne. Wkleśłe i wypukłe powierzchnie mis, talerzy i dzbanów wypełnia urok, wesołość i piękno. Słowo „wypełnia“ rozumieć należy dosłownie. Poczucie artystyczne tych twórców-rzemieślników nie znosiło próżni. Gdy po wykonczeniu kompozycji zostawał jeszcze jakiś skrawek miejsca należało go koniecznie zappełnić czymkolwiek: kwiatem, ptakiem, gwiazdą.

Wszystko co miało wartość dekoracyjną, znaleźć można wpisane w koła, czy wojujące z trudnościami obłej przestrzeni na powierzchni garków. Czupurny kogut pyszni się wśród kwiatów. Sowa, cała w kropki, spogląda na nas wylupiastymi oczami krótkowidza, otoczona wieńcem sowiąt. Dalej liczne

„portrety królewskie“. Te łatwo identyfikować: Artysta-anonim zwykle nie ufał — z podziwu i naśladowania dziś godną skromnością — swej umiejętności chwytnia podobieństwa i wykonany przez siebie wizerunek uzupełniał odpowiednim napisem. Serce legitymisty bije mocniej na widok uśmiechniętych, wesołych Stuartów.

Po wyjściu z zatłoczonych błyskotliwością sal niebo wydaje się bardziej szare i ulica zaskakuje swą wulgarnością. Tym lepiej: popielate tło pomoże pamięci w zachowaniu i utrwaleniu barwnych okrucichów.

Jerzy Orwell, pisząc kiedyś o tych stronach uważał że brzydota miast z okręgu garncarskiego nie jest szczególnie groźna: nie są one wielkie i kończą się raptownie, ustępując miejsca wiejskiemu krajobrazowi. Doprawdy, nie jest to brzydota arogancka, ale raczej łagodny, smutny brak piękna. Raczej otchłań niż piekło.

Ledwie opuścić te miejsca a już się o nich zapomina. Krajobraz nabiera uroku. Dolina rzeki Dove otwiera się przed nami podając widoki z cichą serdecznością. Wprędce dojeżdżamy do Tutbury. Na wzgórzu szczyrzą się w bladym słońcu resztki murów, baszt. Ten zamek był kiedyś ważnym punktem strategicznym i odgrywał rolę w wielu wypadkach historycznych. Często też gościł w swych murach monarchów. Nie zawsze zresztą wizyty te bywały dobrowolne: dwukrotnie więziono tu Marię Stuart.

Forteca nieraz była oblegana, nieraz też zdobywano ją i burzono. W 1174 Wilhelm Ferrers, trzeci hrabia Tutbury, wziął udział w buncie synów królewskich przeciw Henrykowi II i zamek zamieniono na rozkaz zwyciężonego monarchy w kupę gruzów. Przeciwnie, w latach buntu parlamentu przeciw Karolowi I garnizon tutejszy wierny był swemu prawemu władcy i poddał się dopiero po przeciągłym oblężeniu. Zwolennicy Cromwella zabrali się natychmiast do swego ulubionego zajęcia: rujnowania.

Gdy porównać szesnastowieczny rysunek zamku z tym co ocalało do dziś trudno oprzeć się smutkowi i przygnębieniu. Ze spiętrzonej masy dachów, blanków i wież pozostał do dziś zaledwie ułamek bramy, część budynków mieszkalnych i dwóch baszt, oraz ledwie nad zieleni podwórca wzniesiona pozostałość wieńca murów. Z wieży północnej ocalały tylko schody chudo osłonięte kamieniem. Z ich szczytu roztacza się widok, który chyba nie uległ zmianie od dnia założenia zamku: wesoły i różnorodny, nieprzeciętnie piękny, stworzony jakby do łowów z sokołami, do uciech rycerskich i wieśniaczych.

Gdy ruszyć w dół, ku miasteczku, spoza małego, obległego wzgórza ukazuje się zachodni front kościoła — jedynej ocalałej części opactwa założonego tu pod koniec jedenastego wieku, z woli Henryka de Ferrers. Stopniowe ukazywanie się budowli — w miarę zbliżania się do niej — zaczawszy od szczytu, ku dołowi, sprawia dziwne, trochę niesamowite wrażenie. Nie „wznosimy oczu“ na kościół, ale raczej „opuszczamy je“ nań. Wrażenie dziwności nie ustępuje bynajmniej, ale przeciwnie, rośnie

gdzie zatrzymać się przed portalem złożonym z sześciu koncentrycznych łuków pokrytych rzeźbionymi ptakami, kwiatami i stworami z piekła i z baśni rodem. Powtarza się też regularnie element „ptasich dziobów“ przywodzący na pamięć zdobnictwo skandynawskie.

Całość harmonijna i majestatyczna, za duża jest jakby i za wspaniała dla dzisiejszej budowli. Wnętrze kościoła nosi na sobie ślady wiktoriańskiej „pieczołowitości“, ale i ono zachowało przecięt urok. Północnym wejściem, pod portalem skromniejszym ale nie mniej pięknym w czystości linii od zachodniego wychodzimy na mały cmentarz i dalej, ku czekającej nas drodze.

Haddon Hall — Chatsworth

W odległości paru mil od Bakewell, na wschód i południe, znaleźć można dwie książęce rezydencje: Chatsworth diuków Devonu, Cavendish'ów i Haddon Hall diuków Rutlandu, Manners'ów.

Haddon Hall, skromniejszy wymiarami i o mniej reprezentacyjnych ogrodach, może służyć za przykład rozsądnie i celowo przeprowadzonej reperatury i restauracji zabytkowej budowli. Opuszczony i chyłący się ku ruinie warowny dwór został uratowany przez ojca obecnego diuka i zamieniony na uroczą rezydencję.

Ściany większości komnat pokryte są boazeriami. Wyposaża to wnętrza w ciepłą przychylność i ozdobność, którą dobry smak powstrzymuje od stania się przepychem. Wśród elementów dekoracyjnych bez żadnego porównania najliczniejsze i odgrywające dominującą rolę — są motywy heraldyczne. Nie tylko nadaje to dekoracji charakter jednolitości, ale także znakomicie ułatwia ustalenie czasu powstania poszczególnych wnętrz.

Dwór, drogą małżeńskich kontraktów, przechodził z rodziny do rodziny. Ślady tego znaleźć można wśród ozdób ścian i stropów: coraz nowe herby zastępują dawne lub je uzupełniają.

Haddon Hall nie ośniewa kolekcją dzieł sztuki, ale za to w kaplicy zachowały się średniowieczne freski — dzieło malarskie niepośledniej wartości. Uwagę przykuwa przede wszystkim św. Krzysztof przechodzący rzekę pełną ryb, o brzegach obrosłych gęstymi zaroślami, kwiatami i okrzewami. Cała kompozycja — pochwała wiejskiej obfitości — przypomina raczej flamandzką tkaninę niż malowidło. Na innej ścianie trzy szkielety — niewątpliwie część ulubionej w średniowieczu kompozycji z trzema królami, symbol znikomości potęg tego świata.

Sporo dobrych mebli — przeważnie z wczesnego okresu Stuartów — trafnie podkreśla charakter epoki w jakiej świadomie chciano utrzymać wnętrza.

Pobliski pałac w Chatsworth odmienny jest od Haddon Hall. Rzecz by nawet można że jest antytezą: Bez przerwy zamieszkały, nie uchronił się od wiktoriańskiej manii przebudowywania i „ulepszania“. Nie wiele też ocalało z jego pierwotnej urody. O wiele większy i wspanialszy, leży w środku ogromnego, bardzo starannie i na magnacką — jeśli nie królewską — skalę urządzonego parku. Lśniące od złocienia wnętrza wypełnione są dziełami sztuki, nie-

kiędy najwyższego rzędu, dobrymi — lub przynajmniej kosztownymi — meblami wielu epok, gobelinami i wielkimi ilościami porcelany z najświetniejszych fabryk choć nie zawsze o najwyższej artystycznej wartości. Obok znakomitego obrazu Rembrandta „Starzec we wschodnim stroju“, miniatury malowane przez Olivera i Coopera, a także doskonała kolekcja rysunków dawnych mistrzów, nie wyłączając J. Callota, Mabusea i znowu Rembrandta — licznie reprezentowanego jak na prywatną kolekcję. Wśród portretów kilka malowanych przez Van Dycka. Należą one przytem do najlepszego okresu twórczości tego znakomitego a tak nierównego malarza. Wśród nich najciekawsza całopostaciowa podobizna Jeanne de Blois. Jest w tym wizerunku i niespokojna, groźna uroda i przepych i wyrafinowane piękno gestu. Ten portret to nie tylko podobizna pięknej arystokratki, ale znakomity wizerunek epoki łączącej w sobie groźny urok, dworny temperament i drapieżność.

Park, pełen fontann i kaskad, łączy chłodną geometryczność z pozorami kaprysów natury. W jednym z zaułków, wśród gestwiny drzew, nad sztuczną sadzawką pochyla gałęzie z metalowych rurek sztuczna, płacząca wierzba. Gałązki ociekają wodą. Ten kaprys zdumiewa, śmieszy, nieco przeraża. W. B. Yeats w komentarzu do czwartej ze swych stanz „Sailing do Byzantium“ notuje że — jak gdzieś wyczytał — w pałacu cesarskim w Bizancjum było drzewo ze złota i srebra na którym śpiewały sztuczne ptaki... W zielonej, wilgotnej obfitości drzew i zarośli ta sztuczna wierzba wygląda jak obelga, wyzwanie rzucone naturze. A przy tym jakże nieudolne wyzwanie! Jeśli rzeczywiście złote drzewo w bizantyjskim ogrodzie miało „budzić sennego cesarza“ jak przypuszcza poeta, to nielada chyba musiało być majstersztykiem. Wierzba z ogrodów w Chatsworth obudzić może tylko niesmak.

Z mieszanym też uczuciem podziwu i — odrobina — niesmaku opuszczamy park i pałac. I znowu chwytają nas szary nurt szosy. Zapada mrok — majczą w nim upiory fabryk.

M. Paszkiewicz

DELFINA

(II)

O wróżbach i zabobonach

By zabezpieczyć suknię czy materiały od ognia, należy natrzeć je ałunem wymieszanim z białkiem, poczem wyprać w stoney wodzie.

By móc się dotknąć rozżarzonego do czerwoności żelaza, wystarczy natrzeć ręce mieszaną arseniku, ałunu, soku z porów i wawrzynu.

Skorpiony i węże można wypędzić z domu zapachem spalonego płuca osła.

By zabezpieczyć dom przed szczurami, należy w nim spalić kopyto końskie.

By móc łapać ptaki, należy posypać ziarno moczony w winie i cykucie. Po wydziobaniu ziarna nie są w stanie latać.

Nasiona porów przywracają siłę zwierzającemu ocetowi.

Mieszanka nagietek, majeranku, kwitnącej pszenicy, następnie stęchłego masła, koziego tłuszczu oraz glist — jest najlepszą przynętą na ryby.

Opryskiwanie domu wodą zmieszaną z cynkiem siarczku, wypędza pchły.

Najlepszym środkiem przeciwko spaleniu skóry słońcem jest wcieranie na noc maści ze słodkich migdałów, zmieszanych z woskiem i kamforą.

Natarcie jabłek sokiem mięty, powstrzymuje je od gnicia.

By zwiększyć wielkość jajek, należy wnieść do pożywienia kur rozmoczoną czerwoną kredę.

Najlepszy środek przeciwko przypadłościom ischiatycznym to nawóz krwi ugotowany w gorącym popiele w winie lub liściach kapusty.

Gorący nawóz krwi leczy ukłucie pszczoły, osy i szerszenie.

Czyraki i wrzody najlepiej leczyć baranym nawozem rozpuszczonym w occie.

Nawóz kurzy rozpuszczony w różanym oleju, leczy oparzeliny.

Glisty gotowane w gęsim tłuszczu to środek na ból ucha. To samo „lekarstwo“ zmieszane z winem i wypite, rozpuszcza kamienie nerkowe i wątrobiane, poknięte zaś z miodem — leczy żółtaczkę.

Popiół jesionu, dębu, jaworu i bluszczu, wstrzymują krwotoki nosa.

Rogi kozła spalone na popiół — wstrzymują dezynfercję.

Miał sadzy z komina wymieszany z dobrym octem chroni przed odmrożeniami.

Tyle o przepisach magistra Albertusa. Dodamy jeszcze, by w razie potrzeby raczej zawałać lekarza, niż stosować powyższe „recepty“.

PREZENTY PRZYNOŚĄCE SZCZĘŚCIE KOBIECIE

Brylanty.

Perły, ale tylko nieparzysta ilość.

Szafiry, tylko w formie kolczyków.

Złoty albo srebrny łańcuszek.

Guziki wyłożone kamieniami.

Zegarek, koniecznie z wrytym napisem.

Pierścionki złote i srebrne bez kamieni.

Pierścionek z czarną perłą, rubinem, szmaragdem, diamentem i kameą.

KWIATY PRZYNOŚĄCE SZCZĘŚCIE

Róże białe lub czerwone. Goździki białe lub czerwone, lilie, klematis, jemiola, bez, głóg, nieśmiertelniki, bławatki, maki, niezapominajki, czterolistna koniczyna.

KWIATY NIE PRZYNOŚĄCE SZCZĘŚCIA

Dzika róża, cyprys, ostrokrzew, cykuta, pokrzywy, tuberoza, cyklameny, zonkile, digitalis, mech i wszelkie zielone rośliny.

PERFUMY PRZYNOŚĄCE SZCZĘŚCIE

Z zapachem: goździków, róży, fiołków, ambry, paproci siana oraz wszystkie słodkie zapachy.

PERFUMY NIE PRZYNOŚĄCE SZCZĘŚCIA

Z zapachem paczuli, piżma i wszelkie inne ostre zapachy. Natomiast mężczyźnie wolno ofiarować wodę lawendową (oznacza słodycz) oraz wodę o zapachu irysów (oznacza czułą obietnicę).

JAK WRÓZYĆ

ZA POMOCĄ PIERŚCIONKA

Należy usiąść przy stole i postawić przed sobą pustą szklankę. Pierścionek zawiesić na włosku i trzymać między kciukiem, a palcem wskazującym lewej ręki. Podnieść rękę ponad szklankę i opuścić pierścionek do szklanki.

Wahadłowy ruch pierścionka należy tłumaczyć następująco: Jeśli pierścionek uderzy o lewą stronę szklanki — nie należy dowierzać własnemu sercu.

Jeśli pierścionek uderzy o prawą stronę szklanki — zainteresowanie własną osobą przesłania wszystkie inne zainteresowania.

Jeśli pierścionek uderzy o stronę szklanki, która jest naprzeciwko siedzącego — sukces, szczęście i najlepsze możliwości na przyszłość.

Jeśli uderzy o stronę najbliższą siedzącego — rozczarowanie i niepowodzenie.

ZA POMOCĄ SŁOŃCA

Należy znaleźć miejsce w pokoju, na które za chwilę padnie promień słońca. Na małych kawałkach papieru należy wypisać pytania na które odpowiedź brzmi tak lub nie. Papierki odwrócone piśmem do podłogi położyć na miejscu poprzednio wybranym i czekać na promień słońca. To życzenie spełni się pierwsze, na które promień spadnie.

ZA POMOCĄ KSIĘŻYCA

Zaczynając od pierwszego nowiu, młode panienki winny przez dziewięć kolejnych wieczorów patrzeć na księżyc, mając w kieszeni lusterko. Dziewiątego dnia należy wsunąć przed pójściem do łóżka owe lusterko pod poduszkę i życzyć sobie gorąco, by we śnie ukazał się przyszły mąż. Rankiem należy wyjść i dać jałmużnę pierwszemu napotkanemu żebrakowi. Jeżeli żebrakiem będzie mężczyzna, oznacza to, że w przeciągu roku sen się sprawdzi. Natomiast, jeśli będzie to kobieta — to trzeba będzie poczekać dwa lata na małżeństwo.

ZA POMOCĄ BUTA

By dowiedzieć się czy małżeństwo jest bliskie, należy bucik zrzucić ze schodów, jeśli spadnie noskiem buta ku górze — nie będzie małżeństwa, jeśli natomiast obcas będzie w górze to małżeństwo nastąpi za tyle dni, miesięcy czy też lat ile stopni liczą sobie schody, zaczynając od góry do miejsca gdzie bucik się zatrzymał. Delfina

Metamorfoza.

— Panie Kowalski, co się z panem stało? Był pan taki gruby, a jest pan taki chudy. Był pan taki wysoki, a jest pan taki mały?

— Panie, ja wcale nie jestem Kowalskim.

— Co?! To Kowalski też pan już nie jest?

Mała, cicha sta

Słowa o „małej, cichej stacyjce kolejowej“, powtarzają się w tysiącach powieści. Wymarzone tło dla romansu, powieści kryminalnej lub tak zwanej „obyczajowej“ z życia „prowincji“. Ulubiony zwrot w reportażach z tak zwanego „terenu“, drukowanych w gazetach stołecznych.

W letni, pogodny poranek, „on“ po raz pierwszy zobaczył „ją“, jak wysiadała z pociągu na „małej, cichej stacyjce“ i rozglądała się bezzadnie. W deszczowy, ponury dzień jesienny „ona“ żegnała „go“ na stacyjce, szepcząc przez okno „pisz, i bądź zdrów“. W ciemną noc, pełną zgrozy na peronie pojawiał się złowrogi osobnik, którego nikt nie znał i o którym przyciszonym głosem opowiadał sąsiadom naczelnik stacji, że na pewno ma niecne zamiary. Na małej, cichej stacyjce witano braci, mężów i synów wracających z frontu i żegnano innych synów, braci, córki i siostry gdy odjeżdżały do miasta, do szkoły. Ba! Prowincjonalna stacja kolejowa zawędrowała nawet do poezji. Któż nie pamięta Tuwima w balladzie o Piotrze Płaksinie, telegrafście, tym co to nie umiał grać na klarnecie!

W operetkach, satyrach i humoreskach stacyjka kolejowa uzupełnia się postacią naczelnika stacji, kasjera i tragarza w jednej osobie, który zmienia czapkę w zależności od wykonywanej w danej chwili funkcji. A w chwilach wolnych od zajęć uprawia ogródek, umieszczony w wygodnej odległości od torów kolejowych. Niekiedy rosną w nim kwiaty, niekiedy pożyteczniejsze rośliny: pomidory, kalafior lub zgoła kapusta i kartofle.

W Anglii nie widziałem warzyw na stacjach kolejowych, lecz widziałem mnóstwo kwiatów. Rosną na skarpach, między peronami, przed budynkiem stacyjnym i gdzie tylko znajdzie się dla nich miejsce. Zwłaszcza na prowincji, gdzie obsługa ma sporo czasu między towarowym o 10.40 i ekspresem o 13.06. Ten zwykle nie zatrzymuje się nawet na stacyjce więc nie przeszkadza w zamiętowaniach ogrodniczych.

Także stacje podmiejskie Londynu obsadza się kwiatami, choć pociągi przebiegają przez nie co kilka minut. Specjalne zamiętowania ogrodnicze mają stacje londyńskiej kolejki podziemnej. Oczywiście te tylko, które wbrew nazwie znajdują się nie pod, lecz nad ziemią. Co roku organizuje się konkursy między stacjami londyńskimi na najpiękniejszą dekorację kwiatową.

Ale im bliżej wielkich węzłów kolejowych tym wysiłek mniejszym bywa wieńczony powodzeniem. Niekiedy jest zupełnie daremny. Sąsiedztwo fabryk, remiz, bocznic przetokowych: para, dym i sadza utrudniają życie pocziwym krokusom, żonkilom i tulipanom.

Za to na zelektryfikowanych liniach hrabstw południowej Anglii: tam gdzie budowniczo wie kolejowi sprzed lat stukilkudziesięciu nie popsuli, lecz często ozdobili krajobraz, roślinność żyje w harmonii z torem kolejowym i z osłoniętą drzewami stacyjką. Wykóp kolejowy czaruje przez okno wagonu bajeczną soczystością trawy, okraszony bogatym listowiem klonów, buków i delikatną korą brzozy. Drzewka migdałowe, rododendrony i rozliczne krzewy, wśród nich wiele jaśminu i czeremchy — dodają uroku po-

droży, gdyż szlak jazdy zda się biegnie przez starannie uprawiony park. A każda stacyjka pociąga widokiem rabatów kwiatnych i klombów na peronach. Przyjemne wrażenie wzmacnia lekki kształt budynków stacyjnych. Nie są bynajmniej nowoczesne i nie dopatrzysz w nich betonu. Dużo w nich drzewa, malowanego starannie na zielono z dodatkiem beżowego i kremowego. Zielona farba pokrywa także, na szczęście, szpetne w kształcie żelazne słupki podtrzymujące dach peronu lub żelazne sztachety. Krzyk mody z lat siedemdziesiątych zeszłego stulecia, gdy zbudowano większość istniejących stacji. Nie przebudowano ich do dzisiaj, choć pozmieniano wiele razy tory, wyrównując niwelety i uzupełniając przewodami wysokiego napięcia, z których lokomotywy czerpią swoją siłę.

Stacyjki budzą rzewne uczucia w epoce, gdy samolot i samochód stały się podstawowymi środkami lokomocji i gdy tylko dalekobieżne pociągi towarowe i pasażerskie, o wielkich szybkościach a małej ilości zatrzymań, pędzono elektrycznością lub ropą, mogą liczyć na zachowanie opłacalności gospodarczej.

Coraz częściej pociąg mija stacje, których już nie ma. Burzy się budynki stacyjne, zwija bocznice i rampy. Najdłużej ostają się klomby i kwiaty. Jakby wyraz hołdu pośmiertnego dla stacyjki, która służyła wiernie ludziom aż nie przestała być im potrzebna. Autobus i samochód prywatny przybliżyły do siebie miejscowości i nawet upór kilku pasażerów, którzy z wioski do wioski chcą dalej jeździć koleją nie może uratować stacyjki przed zagładą.

Budzi to nostalgiczne uczucia, zwłaszcza w narodzie, który wbrew opinii przywiązuje się bardzo do rzeczy niepraktycznych. Raz po raz czytamy w gazetach, że w tej lub innej miejscowości zawiązał się komitet, którego celem jest obrona jakiejś małej linii kolejowej przed likwidacją. Powstają spółki prywatne, które dopraszają się, by im pozwolono odkupić linię bezużyteczną i utrzymać ją własnym sumptem. Gotowe są utrzymywać ją razem ze starożytną lokomotywą i kilku wagonami, choćby po to by raz na rok puścić po niej pociąg wycieczkowy do sąsiedniej wsi, w której każdy entuzjasta kolejnictwa bywa codzień samochodem, gdyż od jego własnej siedziby jest oddalona wszystkiego o trzy kilometry...

Przed stu laty tacy sami entuzjaści bronili z zapamiętaniem dyliżansów konnych, gdy je wypierały parowozy...

Entuzjaści nie wielu znajdują sprzymierzeńców. Mieszkańcy wielkich kompleksów miejskich, a ci stanowią 90 procent zaludnienia Anglii, przyklaskują im niekiedy z daleka z czysto sportowego impulsu. Lecz nie mogą im pomóc tak jak oklaski tłumy na stadionie nie pomogą przegrywającej na boisku drużynie piłkarskiej, choć mogą ją zachęcić do walki i pomóc by przynajmniej przegrała z honorem.

Stacyjka kolejowa

Dzieci, które zwyczajem utartym od pokoleń, spisują numery lokomotyw i wagonów kolejowych, uwiłają się stadami po peronach wielkich stacji węzłowych i przelotowych. Lecz małe stacyjki nie interesują ich wcale, gdyż trudno grać o lepsze z kolegami w szkole, gdy można zapisać numery dwóch lokomotyw i sześciu wagonów. I zamiast na stację kolejową biegać na szosę by zapisywać numery samochodów i lor ciężarowych, i komentować walory silników różnej marki.

Mają w czym przebieierać. Wymaga nielada bystrości umysłu i uwagi by przeliczyć samochody mijające gromadkę chłopców w szkolnych „blazerach“ i kolorowych czapeczkach tkwiących przy drodze z notesami w ręku. A cóż dopiero zapisać rodzaj pojazdów! Rano i wieczorem szosy wylotowe londyńskie przepuszczają do 40 tysięcy samochodów prywatnych na godzinę. Podróż koleją? No tak, albo w obrębie miasta do pracy, często dlatego tylko, że nie ma gdzie zaparkować samochodu, albo też na dalekie odległości, bo to mniej męczy i dojeżdża się szybciej.

W okresie ostatnich Zielonych Świątek na niektórych szosach prowadzących znad morza wytworzył się zator długości osiemdziesięciu kilometrów! „Popatrz — powiedział Edmund — wskazując słup reklamowy, na który nie spojrziałem dotychczas ani razu choć staliśmy już na szosie dobry kwadrans — „oni mają rację!“ Oderwałem oczy od numeru rejestracyjnego czarnego Morrisa, który stał przede mną i w który wpatrywałem się tempo oparłszy łokcie na kierownicy. Afisz głosił: „Jeśli się śpieszysz, jedź koleją. Na pewno będzie szybciej i wygodniej“.

Być może.

Kolejom nie grozi zagłada. Lecz opuszcza je z wolną aurą tajemniczą, aurą na polu romantyczna, która powodowała, że oczy młodych chłopców rozpląmiały się błyskiem przygody na widok sapiącego po dalekim biegu lokomotywy. Czar przygody, urok dalekiego szlaku przeszedł na kierowców ciężarówek dalekobieżnych. Oni są bohaterami młodego pokolenia chłopców i na nich zerkają dziewczęta. Już nie te co niegdyś, co to czekały na swego wymarzonego krzątając się przy gospodarstwie pod okiem czujnej matki, w domku robotniczego osiedla. Przed pięćdziesięciu laty mieć kawalera-kolejarza to coś znaczyło, to wywyższało w oczach zazdrosnych przyjaciółek. Dziś dziewczęta uwiłają się na skuterach, śmieją się głośno i szczerze a jeśli mają się kim pochwalić na życiowej po sąsiedzku ulicy to rosnym i zuchowatym kierowcą lory dwudziestotonowej.

Chłopy na schwał, bo nie lada wymaga wysiłku obracanie kierownicą jak koło sterowe pokaźnego statku i przewyciężenie snu, gdy wstęga szosy migocze światelkami i tylko szum drzew przydrożnych rozrywa monotonię dalekiej tury. Sto kilometrów, dwieście, trzysta i pięćset. Lora z przyczepą, zakręty znane a przecież zawsze kryjące niespodzian-

kę. I wypoczynek kilkunastominutowy w przydrożnej oberży, gdzie ci podadzą boczek i jajka sadzone, filiżankę herbaty i kawałek sera, I rozmowy z kolegami: czy nisko leży mgła nad rzeką Severn, czy wykończono naprawę szosy koło Cardiff i czy dojazd do doków bardzo zatłoczony. Parę sztachów z papierosa i znowu w drogę, by zdążyć na załadunek w porcie lub po odbiór towaru ze składów fabrycznych.

Siła fizyczna i inteligencja, zawsze napięta uwaga i dobry zarobek. Rycerze dalekich szlaków, elita robotnicza dwudziestego wieku, kierowcy ciężarówek dalekobieżnych. Świat garaży, stacji obsługi; nasyknięty wiedzą o motorze.

„A mała, cicha stacyjka kolejowa“ przechodzi z wolna do historii. Czyni to z godnością i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. W powodzi starannie uprawianych kwiatów. Tych samych, którymi obsadza się coraz liczniejsze garaże, stacje obsługi na autostradach i coraz liczniejsze zajazdy drogowe, gdzie tak jak przed powstaniem kolei podróżni znajdują wypoczynek, pożywienie i wesołą rozmowę.

Obróciło się koło historii; z konia poprzez przedział kolejowy przesiedliśmy się za kierownicę samochodu.

STEFAN LEGEŻYŃSKI

Rzeźba jak ta Lala

A DAŚ to chłop wspaniały. Wiele mamy ze sobą wspólnego, przede wszystkim zamiłowanie do sztuki i stolarki. Co za cudne meble sam zrobił, sam bym takie chciał mieć.

Ale sztuka sztuce nie równa. W czasach przemian jakie są cechą naszych czasów — (co za czasy, co za czasy, jak mówi stryj Mikołaj) sztuka dokonała zwrotu. To co dawniej było dobre, to dobre dziś nie jest. Tego co za dobre obecnie uchodzi publiczność nie chce. Artyści w prawo, publiczność w lewo. I na odwrót.

Chodzę na wystawy i obserwuję. Wszyscy chwalą, ale jakoś dziwnie patrzą. Żona i dzieci artyści, no i on sam chodzą jak pawie. Ale tak jakoś umiejętnie drepczą w kółko aby tylko nie oddalić się od własnych obrazów, nie wchodzi już w ten rejon gdzie wystawia kolega. To fakt, na fakty nie ma rady, trzeba przyjąć je jak są, ale wnioski zostawiam czytelnikom.

A więc wróćmy do Adasia. Mieszkanko nie duże ale estetyczne. Obrazy owszem, są, w tym jeden wspaniały: nadbrzeża Sekwany, reprodukcje mistrzów, kilim o wartości nie tylko artystycznej, i masa książek w tych własnych szafach. Czyli znawca piękna. Znawca na 102!

Jesteśmy z Adasiem w Tate Gallery, zawsze warto porównać, nie mówiąc o wystawach zbiorowych: Picasso, Kokoszka — kto by zresztą spamiętał wszystkie. I leci na nas wielka broda, także wąsy i

(Dokończenie na str. 7)

STRASZLIWA POMYŁKA

JAKO się rzekło, pan Mondraszek zgodził się na wzięcie kota. Serce jego zawsze było po psiej stronie, ale ze względu na wymowę pani Doci i mysz Trefkonia, która buszowała po domu nie kontrolowana, musiał się zgodzić.

— Śliczne maleństwo — entuzjazmowała się pani Docia — pieszcząc szary kłębuszek, który kupiła za dziesięć szylingów w „petszopie“.

Panna Wisienko i Golońska podzielały zachwyty pani Mondraszkowej. Kotek nazwany Mikutko czuł, że trafił we właściwe ręce. Nawet ptasie mleczko albo i pszczele, tak zwane Royal Jelly, będzie tu miał na zawołanie.

— Mikutko mruczykutko — przemawiała pani Docia.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie profesor.

— Czy to czasem nie samiec? — zainteresował się od razu.

— Naturalnie że samiec — odparł Mondraszek, patrząc na Dryńdzie z góry — jakżeż ja bym prosił pana profesora z kotką wytrzymał, żeby mi kociętami porządny dom zakociła?

— Samiec — podniósł palec profesor — też ma swoje wady. Głosik na przykład.

— Głosik?

— Wyje po nocach. Spać nie daje. I na starość pachnie nieprzyjemnie.

— Więc co profesor radzi? — zirytował się Mondraszek — Mysz?

— Ja tylko chcę powiedzieć, że zwyczajem całego kulturalnego świata koty domowe się operuje. Jest to zabieg łatwy i bezbolesny. Wszyscy nasi gospodarze mają koty te... te... zoperowane.

Właściwie to nie było nowością. Kot Smoky pani Lothman z numeru 30, kot łaciaty z przeciwka... wszystkie stateczne, solidne, tłuste kociska przeszły „odmęskowienie“.

Pani Docia wyraziła zgodę.

— Byleby teraz, kiedy jeszcze nic nie rozumie — prosiła.

— Panna Wosinko i Golońska, duchowe opiekunki, pochlipawszy uznały konieczność zabiegu.

Ale pan Mondraszek powiedział: nie.

— U nas czegoś podobnego nie bywało — odpierał argumenty profesora — kot to jest kot i jego prawo ganiać za kotkami.

— Ależ i kotki są zoperowane — wykrzykiwał profesor — co mu z tego przyjdzie? Będzie samotnie jęczał do księżycy każdego marca. I nas będzie budził.

— A ja powiadam — pienieł się Mondraszek — że nie.

— Płeć — wywodził profesor — to obciążenie. Prawdziwe szczęście, gdy możemy oddać się spokojnie rzeczom wyższym i piękniejszym nie dręczeni przez uderzenia krwi do głowy.

— Stary pan jesteś, to pan tak mówisz — skrzywił się Mondraszek — ale niech sobie profesor przy-

pomni młode lata. Kot, powiada pan, ale co by powiedział taki Walczyk na podobną propozycję?

— Gmatwa pan całą sprawę — upierał się Dryńdzia. — Mówmy o kocie, który nawet nie pomyśli, że coś utracił. Szczęśliwszy będzie bez trudności, które przysparza nadmierna ilość gruczołów.

— Nie. — Mondraszek zacisnął wargi wydając ostateczny wyrok.

Jakżeż miał tego żałować.

Wszyscy wiedzieli, że krzyki nocne, zawrodoenie i płacz upiorny — to robota starego kocura z ogródka na rogu. Siadywał na płocie i zachłystywał się skargami na samotne życie kota z temperamentem. Dlaczego za to miał płacić Mikutek?

Pewnego wieczoru, gdy nastąpiła wiosna, która w kocim życiu ulubieńca pani Doci była już trzecią, Mikut zjawił się na progu własnego domu w okropnym stanie.

Trzy dni go nie było. Zaniepokojona zniknięciem kota pani Mondraszkowa chodziła od domu do domu pytając sąsiadów, czy nie widzieli Mikutka. Każdy odpowiadał grzecznie, ale przecząco, tylko Mrs. Yellowbird zachowała się dziwnie.

— Czy pani nie widziała mego kotka? — pytała pani Docia. — Szary z bystrzymi oczkami, znikł wczoraj wieczorem.

— Nie chcę nic wiedzieć o kotach, które przeszkadzają spać memu mężowi — odpowiedziała Mrs. Yellowbird i zatrzasnęła drzwi.

Mikut sam przyszedł do domu, ale jak... Pełzał miaucząc i skarżąc się swej pani. Wezwano weterynarza, który stwierdził że Mikutek został pozbawiony męskości. Ktoś go zaniósł do lekarza i kazał zoperować.

— Partacka robota — stwierdził ze zgorszeniem koci doktor — to nikt inny jak Subman.

— To jest świństwo. To jest przestępstwo. To jest bezprawie — ryczał Pan Mondraszek gniewny. Pani Docia pielęgnowała poszkodowanego Mikutka. Panny Wisienko i Golońska łamały ręce. Nawet pani Windzik zeszła z góry z odpowiednim komentarzem i z puszką Kit-Katu.

— Sprawa nadaje się do sądu — powiedział pan Walczyk, gdy się dowiedział o katastrofie.

Profesor, trzeba przyznać, zachowywał się szlachetnie. Nie chodził zacieraając ręce i nie tryumfował nad biednym Mondraszkciem, tylko cichutko na stronie szeptał: a nie mówiłem.

Mondraszek doprowadził do rozprawy w sądzie. Subman, weterynarz-konkurent doktora Doglegą, przyznał się, że zoperował Mikuta.

— Przyniosła go pani Yellowbird — powiedział w sądzie — i nie miałem powodu, aby podejrzewać, że to nie jest jej kot.

— Panie sędzio — broniła się chuda i złośliwa Mrs Yellowbird — nie mogliśmy znieść kocich wrzasków. To przecież barbarzyństwo trzymać kota w tym stanie. Mój mąż spać nie mógł. Uważam, że na podobny czyn mogli się zdobyć tylko forejnerzy.

— Proszę nie głosić w sądzie rasistowskich hasel — ostrzegł sędzia i po rozważeniu wszystkich za i przeciw kazał Mrs Yellowbird zapłacić 20 funtów właścicielce kota Mikutka.

— Panie sędzio — nie wytrzymała pani Docia — niech pan zapyta ją czy ustały wrzaski?

Sędzia chciał stuknąć młotkiem, aby skarcić panią Mondraszkową, ale spojrzał pytająco w stronę oskarżonej.

— Trochę — wyjąkała Mrs Yellowbird — są jeszcze inne koty.

— O to chodzi — pani Docia jak bogini zemsty wołała z ławek dla publiczności — mój kot w porządku, to inny kot, to rudy kot. To omyłka. Mistake.

Sędzia skrzywił się. Przeciwny był wracaniu do sprawy, która już została zadecydowana. Ale widać było, że chętnie dorzuciłby coś do dwudziestu funtów.

— No cóż — opowiadał Mondraszek w klubie — o pieniądze nam nie chodziło. I tak zabrał wszystko adwokat, jeszcze trzeba było dopłacić. To szło o honor. Honor został przy nas.

— Czyżby? — złośliwie zauważył pan Dzwoniec.

— Kot ma o tym inne zdanie.

— Co pan wiesz! — Mondraszek odwrócił się plecami.

Mikutek wyleczył się i nawet przytył. Rządziej wychodzi do ogrodu i już nie walczy z kotami. Boi się i ucieka pod opiekę pani Doci. Zwłaszcza dokucza Mikutkowi rudy kocur, który siada na płocie naprzeciw kuchni Mondraszków i drze się ironicznym głosem.

— Przez niego — mówi pani Docia — wszystko przez niego. Gdybym wiedziała jak...

Czesław Dobek

RZEŻBA JAK TA LALA (Dok. ze str. 5)

straszne nadgłowie. Co to? A raczej, kto to? Niechybnie jakiś malarz lub rzeźbiarz. Wita się, wydaje jakieś gulgocące dźwięki spomiędzy tego nadmiaru włosów. Adaś sądzi, że to mój znajomy, ja to samo sądzę o nim. Wszystko zresztą jedno. Indywiduum ciągnie nas przez salę, wyszarpuje przez drzwi Galerii, i wrzuca a raczej wciska do swego samochodu. Ho, ho, człowiek który ma samochód to już jest ktoś. Ale kto?

Samochodzik zresztą maleńki, i poza tym nie chce ruszyć, ale kiedy nasz brodaty nieznanomy kopie kilka razy, rusza i dosyć zręcznie przemyka się wśród samochodów większych, które wprost fantastycznie ugrzęzły na odcinku od muzeum po parlament.

Stajemy. Coś mi świta, ja tego typu znam, gdzieś kiedyś poznałem, na pewno. I to artysta ho, ho!

Brama, schody, piwnica... rzeźby. Jesteśmy w jednej z licznych galerii sztuki, które zapełniają Londyn a od jakichś trzech—czterech lat go zapełniają. Nasz brodaczek coś wykrzykuje do równie brodatych facetów. Adaś uśmiecha się — widzi, że mnie tu znają, bo kilku ściska mi dłoń. Jest Walery — no nareszcie mam kogoś kogo znam. Walery podaje nam kielichy: — pijcie prędko, aby nie przeszło szkłem!

Dyskretnie nachyliwszy się, pytam Walerego kto to, wskazując na naszego brodacza. Walery nie wie, ale obiecuje się dowiedzieć. Brodaczek rozjaśnia się i pokazuje jedną z rzeźb, mała, niska i leżąca

na podłodze. Czytelnikom zdradzę, że kształty rzeźb, materiały z jakich są zrobione i sposób ich ustawienia na wystawach, to rzecz najbardziej indywidualna i nawet tajemnicza. Coś niecoś o tym wiem, ale nie wszystko.

Kto to jest nie wiem, ale nabieram zaufania do brodacza, bo taki bezpośredni i... natchniony. Tak niechybnie to jego rzeźba, cokolwiek by nie przedstawiała to dzieło natchnienia, dziś pokazana profanom. Studia o głodzie i chłodzie, praca na poddaszu, i... mam dzieło przed oczyma.

Coś mi ta rzeźba przypomina, ale co? Jest zresztą jak najbardziej nowoczesna, spajana z różnych części metalu, to widać. Nie tęgi z niego ślusarz, ale spoił jak umiał. Może przy następnych się nauczy lepiej. Ale nie chodzi o drobiazgi, grunt to pomysł, idea.

Adaś pojawił się przy mnie, pytając: — Czy ty wiesz co pijemy?

— Nie wiem, odpowiedziałem, wachając kieliszek. — Wprawdzie w praktyce alkohol i sztuka idą równolegle, ale ważniejsza jest przecież sztuka.

Adaś znikł mi zresztą z oczu, gdyż zabrała go jakaś blondynka, prosząc (jak dosłyszałem) o poinformowanie jej czy Ognisko jest w Teatrze czy Teatr w Ognisku. Walery zaczął mnie lekko szturchać i wskazywać na rzeźbę. Czego ta bestia się śmieje? Śmiać się z cudzej pracy, nawet gdyby była nowoczesna, nie wypada. Tym bardziej w obecności mistrza. Nagle coś mnie tknęło. Nachyliłem się. Jest, mały kopiec w środku cylindra, który wywija się lśniącym metalem. Toż to! Niemożliwe? A jednak. Zgadza się! Naczynie zresztą zdemolowane, cóż gdyby było całe nigdy by je artysta nie dostał. A w jego środku — no to go uratowało — kopczyk bardzo umiejętnie zrobiony z metalu...

Walery nachylił się i powiedział: — Od dziś ja robię rzeźby!

Ile on chce za to?

Walery podał mi katalog, w którym stało jak byk: „Objekt numer 1“:200 gwinei. Nachyliłem się jeszcze raz, i zauważyłem czerwoną kropkę. Czyli ktoś kupił. Brawo!

Adaś pojawił się znowu, chwyciłem go za rękę, i mimo protestów brodacza wyszliśmy na ulicę. Londyn wyglądał jak gigantyczna choinka, a z najbardziej jasnego miejsca świeciły trzy litery: BAR.

— No i co powiesz o wystawie, zapytał Adaś gdyśmy usiedli na czerwonej kanapce.

Na półce stała waza, widać że właściciel baru był kiedyś sportowcem, i przypomniała mi się rzeźba niedawno oglądana. Podobna, choć nie to samo. Z tej się przecież pije. — Rzeźba jak ta lala, odpowiedziałem. Stefan Legeżyński

Straszny sen.

— Miałem okropny sen — opowiadał w biurze Perełko. — Śniło mi się, że znajduję się w towarzystwie stu tańczących, nagich dziewcząt, jedna piękniejsza od drugiej. Nogi — marzenie, twarze aniołów, a każda miała biust jak Lollobrigida.

— No, to cóż okropnego w tym śnie?

— Ja sam też byłem dziewczyną!

Z OBCYCH WYDAWNICTW

SZABLON — RZECZ JEDNAK NOWA

LA GRAINE — ziarno. Piękny tytuł ostatniej powieści Thyde Monnier, wydanej przez B. Grasset. Podaję po polsku dosłownie, ale mam wrażenie, że gdyby całą książkę przetłumaczyć, to po polsku, ażeby treść zamknąć już w tytule, powinien brzmieć „załążek“, „zarodek“, albo jeszcze lepiej „początek“. Wtenczas jednak nie wyrażałby już tej pezozi, jaką kryje w sobie słowo „ziarno“. Autorce nie chodzi tu bowiem o siew, lecz o istotkę jedwabnika, o jego załążek, w Prowancji, gdzie rozgrywa się akcja powieści, zwany „magnan“. Załążki są schowane w pudełku należącym do małego Camillo. Wioska, w której mieszka, pewnego dnia przestaje istnieć z powodu obsunięcia się ziemi. Wszyscy giną. Z całej rodziny Delhera ocalał tylko Camillo, jego ojciec Ludvic i — pudełko. Ludvic wędruje z synkiem do Prowancji. Tu chłopczyk, jak wiele prowansalskich dzieci, zaczyna hodować jedwabniki.

Opis hodowli napisany jest szczegółowo i niezwykle interesująco. Znać, że autorka, o ile sama nie zajmowała się jedwabnikami, to w każdym razie patrzyła na chów z bardzo bliska.

Życie jest krótkie, zatem kilka lat wystarczy, by z dziecka chłopiec przeobraził się w młodzieńca. Ojciec już nie żyje. Camillo posiada zdumiewającą cierpliwość i upór w pracy. Pokonuje wiele trudności i z czasem, z dziecinnego hodowcy, staje się właścicielem sporej plantacji jedwabników. Jeszcze kilka lat i już mocno staje na wypracowanym przez siebie i dla siebie gruncie. Zakłada własną rodzinę. Ma dzieci, potem wnuki — a jedwabniki niezmiennie, w tym samym tempie, monotonnie omotują swoje kokony jedwabną nitką. Lecz trzecie pokolenie rodziny Delhera zrywa z tradycją. Ponad rzemiosło jedwabnych przadek, przenosi sztuczne włókno. Naturę zastępuje fabryka, siłę owadów — prąd elektryczny. Zamiast szlachetnej tkaniny jest tandeta. Lecz to popłaca. Z ludzi wiejskich, wychowanych wśród pagórków pokrytych rozmarynem, Delhera zmieniają się w miastowych przemysłowców. Zbyt szybka ewolucja komplikuje im życie, wygina jego ciągłość dotychczas trwałą tym, że biegnącą prosto po wytyczonej ścieżce. Nie mogąc sobie poradzić z szeregiem powstających w nich konfliktów, obierają linię najmniejszego oporu. Doprowadza to do dramatu.

Dobra książka.

Dawne to lata, kiedy z jednym z młodych autorów postanowiliśmy razem napisać słuchowisko. Nie lubię wspólnej pracy, nie umiem, ale w tym przypadku nie chodziło przecież o nic poważnego. Więcej może pociągały nas „kawały“, jakie mieliśmy okazję tworzyć przy stoliku w kawiarni. (Bo w tych latach mocno przedwojennych, literat obowiązkowo musiał

pisać w kawiarni). Nagle powstała trudność. Dobrze — ale temat? Bo każdy dawno został już wykorzystany, jeżeli nie przez kilku, to przynajmniej jednego autora. I wtenczas mój towarzysz powiedział: „Chcesz? Mam wspaniały pomysł. Dwoje młodych, miłość, idylla; nagle komplikacja, przeszkody, dramat. I wszystko kończy się szczęśliwie. Ale to trzeba tak ująć, żeby naprawdę było zupełnie nowe i oryginalne“.

Podobną receptę można by zastosować do „Joli Coquelicot“ François Brieuł, (wydanie R. Julliard). Patryk spędza wakacje u dziadków, gdzieś w Ardenach. Najbliższe sąsiedztwo: rodzina z najstarszą córką, 17-letnią Natalią. Patryk ma lat 22. Z góry więc można przewidzieć co nastąpi. Owszem, następuje, lecz nie tak jak sobie czytelnik wyobraża. Patryk nie zna okolicy. Natalia spędziła tu całe swoje dzieciństwo, tu dorasta. Zostaje więc przewodnikiem młodego człowieka. Razem włóczą się po losach, razem polują. Wnet jednak, po pierwszym pocałunku młodych, kuropatwy i zające schodzą na drugi plan. Koniec wakacji. Patryk wyjeżdża do Paryża, gdzie stawia pierwsze kroki w dziennikarstwie. Natalia wraca na pensję. Spotykają się dopiero ponownie na Boże Narodzenie. I wtenczas dopiero, podczas jednego z polowań następuje to, czego czytelnik oczekiwał od letniego okresu powieści.

W Natalii budzi się nagle taka pasja, że po feriach nie traci ani jednej sposobności, by nie odwiedzić Patryka w Paryżu. Tu można sobie postawić pytanie: co powoduje Natalią — uczucie do Patryka, czy chęć małżeństwa? Żeby na to odpowiedzieć, trzeba książkę przeczytać do końca. Nie do mnie należy podawać rozwiązanie problemu na talerzu, z widelcem, nożem i jarzynką. Samemu trzeba się potrudzić. O co mi jednak chodzi. O to, o czym wspominałam na początku. Historia w zasadzie banalna, jak każdy romans, lecz podana w taki sposób, że czytelnik ma przed sobą rzecz nową, oryginalną, a że pisaną lekko, w formie opowiadania Patryka, więc czyta ją z przyjemnością.

Zemsta.

Nowy Świat. Godzina druga w nocy. Jakiś zalany w pestkę jegomość stoi na skraju chodnika trzymając się kurczowo latarni

— Co pan tu robi? Gdzie pan mieszka?

— Ttu za..zaraz nna..prze..przeciwko! — odpowiada pijak wskazując palcem dom po drugiej stronie ulicy. — Dz..dz..dzwoniłem, ale mi do...do..zorca nnie o..otwiera!

— A kiedy pan dzwonił?

— Pprzed go..godzinką!...

— Więc dlaczego pan nie dzwoni drugi raz?

— Mmo..mowy nnie ma, ppanie wła..wła..właduchna, tteraz nniech on cz..cz..czeka!